

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

W NUMERZE m. in.:

W. K. GERST — Niemiec katolicki a Polska
R. BUCHAŁA — Dobro doczesne a Królestwo Boże
J. NUCKOWSKA — Ossolineum wczoraj i dziś
J. RADZYN — Przywrócony Polsce
Z. MARCZAK — Drogi i rozdroża współczesnej rodziny — Jak pisałem „Listy Nikodema“ (Rozmowa z Janem Dobraczyńskim)

Rok VIII

Warszawa, 23 marca 1952 r.

Nr 12 (330)

Henri de LUBAC T. J.

WŚRÓD PARADOKSÓW CHRYSYTYANIZMU

Duch dziecięctwa jest cudowną łaską i należy z a w s z e powtarzać za Ewangelią, że Królestwo Niebieskie należy do dzieci i do tych, którzy są do nich podobni. Ale dziecinność nie jest duchem dziecięctwa, prawność duchowa jest czymś zgoła różnym od niedorozwoju umysłowego, i należy także słuchać świętego Pawła mówiącego: „*evacuavi quae erant parvuli*“.

Kościół jest matką. Otóż, jak mówi święty Augustyn, matka lubi karmić swoje małe dziecko, ale wcale nie pragnie, żeby pozostało ono małym dzieckiem (Kazanie 23: „*et mater parvulum amat, naturire, sed eum non amat, parvulum remanere*“).

W Bogu Ojcu powinniśmy tylko dlatego widzieć bezwzględnie rozkazującego nam Pana i tylko dlatego powinniśmy doznawać poczucia uległości, ponieważ jesteśmy jeszcze w drodze; *nondum apparuit quid erimus* — jeszcze nie okazało się czym będziemy. Dla tego właśnie powodu mamy w Kościele władzę hierarchiczną. Gdy Bóg będzie wszystkim we wszystkich w Kościele triumfującym, w mieście wybranych nie będzie innej hierarchii nad hierarchią miłości.

Posłuszeństwo, znające tylko nakazy, jest całkowicie niewystarczające — nawet, gdy dla zapewnienia doskonałego wypełnienia tych nakazów odwołuje się do woli i sądu. Szczególnie

w życiu duchowym, które nie polega na gestach. Dobrą rzeczą jest wierne, ściśle, całkowite wypełnianie przepisów władzy religijnej. Ale, dopóki tylko na tym poprzestajemy, dopóty nie zaczęliśmy jeszcze słuchać. Za cel bierzemy wówczas to, co jest zaledwie środkiem; za czyn to, co jest tylko jego warunkiem. Tak fałszujemy ideę katolicyzmu.

Życie w każdym porządku jest triumfem nad nieprawdopodobieństwem, nad niemożliwością. Tak właśnie jest z żywą wiarą. Przenosi ona góry — rozrywa błędne koła. Z trucizny potrafi czerpać pożywienie i postępuje naprzód dzięki przesz-

komom. Skoro tylko jednak osłabnie, choćby zresztą pozostała doskonale szczerą: gdy zmięknie lub stwardnieje, wszystko staje się dla niej okazją do cofania się. W wypadku zmięknienia obrona przestaje działać, a przy stwardnieniu zanika zdolność przyswajania.

Jak apostoł powinien świadczyć swym życiem, tak apologeta powinien świadczyć swą myślą.

Czyż nie za często się zdarza, że dogmat nas nudzi, że sprawy duchowe nas nudzą. Zastępuje-

my je wówczas zewnętrzną pożywnością, albo o ile jesteśmy intelektualistami, jakimiś poglądami z dziedziny religijnej filozofii, które chętnie uznajemy za głębokie, osobiste nam bliskie i stosowne. Religia taka jednak nie jest żywa, nie posiada w sobie żadnej siły podbijającej. Wyczerpujemy się wówczas w poszukiwaniu metod, „sposobików“. Świadczenie prawdy i apostołstwo zbyt szybko są zastępowane prozelityzmem i propagandą.

Spotkałem się kiedyś z następującym pytaniem: „Błogosławieni łagodni... jak można to zastosować do czasów obecnych, w których ludzie silniejsi narzucają innym bezwzględny ucisk?“ Czyżby autor tego pytania naprawdę myślał, że w czasach Chrystusa łagodni przeważali nad gwałtownikami? Czyżby też sądził, że w owych czasach było przyjemną rzeczą płakać, być ubogim lub znosić prześladowania? Czyżby w końcu mniemał, że pouczenia o Błogosławieństwach nie możemy dziś przyjmować w tym samym znaczeniu, co niegdyś i że nadszedł czas na „przystosowanie“ Ewangelii? Nie chodzi jednak o przystosowanie chrześcijaństwa do ludzi, ale ludzi — do Chrystusa.

Wiara w grzech pierworodny chroni nas przed utopią, ale nie powinna odwracać nas od poszukiwania postępu społecznego. Przeciwnie zachęca nas i ukazuje konieczność postępu. Gdyby człowiek był z natury dobry, należałoby pozostawić wszystkie sprawy swemu biegowi. Przeciwnie jednak zepsuciu i słabości człowieka trzeba wznosić system zapór przez stworzenie możliwie najdoskonalszej struktury społecznej. Zadanie niewątpliwie niewystarczające i narażone na niepowodzenia, jeśli nie idzie w parze z pracą wychowawczą. Ale zadanie niezbędne. Ci którzy od niego się uchylają w imię dogmatu o grzechu pierworodnym, nie pozostają w zgodzie z doktryną, ani nie trwają w wierności Kościołowi.

Jeśli ktoś nie będzie żył, myślał i cierpiał wspólnie z ludźmi swego czasu, jako jeden spośród nich, na próżno będzie starał się znaleźć wspólny z nimi język.

(Z książki pod tytułem „Paradoxes“, Paris 1951. Przetłumaczył Z. J.)

Wszystkie formuły, wszelkie zabieganie o prawowierność, wszystkie skrupuły dotyczące absolutnej zgodności, słowem wszystkie ograniczenia nie są w stanie zapewnić czystości wiary. Gdy zabraknie ducha, wtedy dogmat staje się tylko mitem, a Kościół tylko organizacją.

Bez wysiłku nic się nie zachowa nietknięte. Powtarzanie formułek nie zapewnia przekazywania myśli. Skarbu doktryny nie można powierzyć biernej pamięci. W jego zachowaniu musi uczestniczyć inteligencja, która go w pewnej mierze na nowo odkrywa.

By rzeka Tradycji doszła aż do nas, trzeba ustawicznie odpłasczać jej koryto.

Życie wieczne nie jest „życiem przyszłym“. Przez miłość już tu na ziemi wchodzimy w wieczność. *Manet caritas*. (Pozostaje miłość).

Jak wiara jest pierwiastkiem zrozumienia, tak posłuszeństwo powinno być pierwiastkiem wolności. W ręce władzy oddajemy się nie tak, jak człowiek zmęczony samodzielnym działaniem, który daje za wygraną, albo, jak żeglarz, szczęśliwy, że w końcu przybywa do spokojnego portu po burzliwej podróży. Przeciwnie, od władzy otrzymujemy nakaz *Duc in altum* (Steruj na pełne morze). Powierzamy się jej, jak okrętowi, który opuszcza port, by odbyć piękną, pełną wielkich przygód podróż.



FRA ANGELICO — GŁOWA CHRYSYTY

Porozumiewajmy

Panie Stefanie

MYŚLE, że problem, który Pan poruszył w swym ostatnim liście, musi być wspólnym dla bardzo wielu katolików w chwili obecnej. Pisze Pan do nas: „Czy nie sądzicie, Panowie, że należałoby kiedyś w ramach wysuwanej przez was hasła „KATOLICYZMU GŁĘBI”, poruszyć zagadnienie stosunku wielu katolików do obowiązujących w Kościele nakazów postu, apelów o umartwienie się. Właściwie cała ta sprawa trochę dziś zwietrzała. Wszystko to, co wiemy o postach i umartwieniach, wywodzi się mniej więcej ze zwyczajów średnio-wiecznych. Współczesny człowiek, gdy je rybę, nie zastanawia się nad tym czy pości, czy nie pości. Zresztą trudno dziś o ułożenie sobie regularnego jadłospisu, zwłaszcza jeśli się nie jada w domu, często więc zdarza się, że obowiązujące terminy po prostu się przegapia. Jeśli zaś chodzi o dobrowolne wyrzeczenia i umartwienia, to muszę przyznać, że nie znajduję ku temu skłonności w nowoczesnym człowieku, pochłoniętym tak bardzo pracą i życiowymi problemami. Czy to wszystko nie oznacza, że do tych spraw należałoby podejść jakoś inaczej, w sposób bardziej trafiający do psychiki współczesnej?”

Cóż na to nasi Czytelnicy? Jesteśmy w pełni okresu Wielkiego Postu. Jest to właśnie najlepszy moment, by się nad tym zagadnieniem poważniej zastanowić. Słusznie też Pan zrobił, Panie Stefanie, stawiając właśnie teraz to pytanie.

Ze swojej strony muszę Panu powiedzieć, że się na ogół z Pańskimi uwagami zgadzam. To istotnie sprawa, która dziś wymaga od nas ponownego przemyślenia.

Do postu i umartwień możemy podchodzić od rozmaitych stron. Można po prostu stawiać sprawę tak — trzeba kształcić swój charakter. Odmawianie sobie czegoś, co się lubi, narzucenie sobie czegoś nieprzyjemnego (byłe nie bezcelowego), to są metody ćwiczenia własnej siły woli. Jest w tym niewątpliwie wiele racji, choć w tym stanowisku nie ma nic specjalnie katolickiego. Chodzi nam w tym wypadku o pewne, niewątpliwie pozytywne ćwiczenie z zakresu higieny psychicznej. Można jednak to samo ująć inaczej — człowiek całe życie walczy z pokusami i grzechem. Ciało nasze jest niewątpliwie źródłem wielu pokus i wielu, nawet bardzo ciężkich grzechów. Nie chcąc nimi obrażać Boga dążymy do opanowania naszych słabości. Bez popadania w przesadę — nie zapominając, że ciało jest nie tylko złe, gdyż może służyć także sprawom bez wątpienia pięknym, szlachetnym, świętym — na drodze postu lub umartwień umacniamy się w walce ze złem, z pokusą, z grzechem. Wówczas ćwiczymy wolę nie dla samej satysfakcji sprawdzenia siły charakteru, lecz dlatego, że chcemy, by nasza wola służyła dobrej sprawie.

Można również podchodzić do sprawy postu i umartwień od strony pokuty za grzechy. W Wielkim Poście właśnie do tego nas wzywa Kościół. Można jednak również czynić to jako ofiarę dla Boga, z miłości do Niego, z miłości dla bliźnich. Rodzice, którzy odmawiają sobie czegoś dla własnego dziecka, nie mają zwykle poczucia, iż czyn ich jest sztuczny, wyrzeczenie takie jest naturalne, bo wynika z miłości, ze stawiania dobra własnego dziecka przed swoim osobistym. W świadomym umartwieniu może być ten sam akcent, akcent miłości i ofiary, którą się tym chętniej spełnia, im bardziej się kocha.

A teraz strona praktyczna. Bez wątpienia bardzo często się zdarza, że do postu, albo do umartwień odnosimy się w sposób zupełnie mechaniczny, bezmyślny. Bez wątpienia jest to dowód poważnego błędu w chrześcijańskiej kulturze dnia codziennego. W chwili obecnej piątek poniekąd zatracił swój dawny charakter dnia postu. Powodują to praktyczne okoliczności naszego życia. Nic jednak nie stoi na przeszkodzie, by praktykujący katolik dbał o to, by w okresie Wielkiego Postu dwa dni w tygodniu przeznaczyć na pewne świadome wyrzeczenie w zakresie jedzenia, właśnie po to, by sobie umocnić swe chrześcijańskie zobowiązania. Przy czym, sądzę, chodzi tu o coś więcej, niż o mechaniczne wyrzeczenie się spożywania mięsa: chodzi o świadome narzucenie sobie w tym dniu ograniczeń, przeznaczając te drobne w istocie umartwienia zgodnie z przyjętą z góry intencją. Wówczas dopiero ma to swe merytoryczne, głębsze znaczenie. Wówczas katolik nabiera poczucia, że postawą swą akcentuje swe poczucie wspólnoty z całym życiem Kościoła, że wzbogaca swe życie wewnętrzne, otwiera je dla łaski. To samo zresztą odnosi się i do innych umartwień. W zależności zresztą od różnych okoliczności, można je szukać, a można po prostu dbać o to, by przydarzające się zmartwienia czy dolegliwości znosić po chrześcijańsku, czyniąc świadomie ofiarę Bogu ze swej cierpliwości czy opanowania.

Ważne jest, by czynić to wszystko świadomie, wiedząc po co Kościół się o to upomina. Nie okoliczności stoją na przeszkodzie. Kościół w tych sprawach nie formalizuje nadmiernie. Na przeszkodzie w naszym życiu codziennym staje najczęściej bezmyślność wykonywania niektórych praktyk religijnych. Przyszyczenie jest wrogiem pobożności.

Rzecz oczywista, są to przemyślenia zupełnie luźne, naszkicowane tylko w odpowiedzi na apel naszego Czytelnika. Kto się nimi zainteresuje, znajdzie łatwo w bogatej na tym odcinku literaturze katolickiej myśli głębokie i cenne. Dziękujemy niemniej za przypomnienie nam o tym, właśnie w tej chwili. W.K.

PO WYBORACH w INDIACH

ABY zrozumieć rezultaty ostatnich wyborów w Indiach, trzeba zdać sobie sprawę, jakiego prerażliwego znaczenia nabrały w tym kraju słowa „nędza” i „głód”. Pisaliśmy niedawno na łamach „Dziś i Jutro” o straszliwej klęsce głodu, która dotknęła Indie w lipcu ub. r.

Rząd ustanowił dzienną rację ryżu, jaka przysługuje każdej dorosłej osobie w Indiach. Porcja ta wyrosi aż 16 uncji (225 gramów). Nie jest to chyba zbyt dużo.

Już jednak 20 września ub. r. zarząd prowincji Assam wydał komunikat, w którym czytamy między innymi:

„Głód panuje w wielu miejscowościach naszej prowincji. W okolicy Madras dzienna racja ryżu obniżyła się z 8 na 6 uncji. Jeśli sytuacja nie ulegnie szybkiej poprawie, skutki mogą być katastrofalne...”

28 grudnia minister żywienia i zaopatrzenia przyznał oficjalnie, że:

„W roku 1951, zbiory żywności zmniejszyły się w stosunku do roku 1950 o cztery miliony ton...”

*

Wobec tak tragicznej sytuacji, coż może zrobić rząd? Słumieć siłą bunt i zapelnąć więzienia przywódcami ruchów opozycyjnych? System taki jest równie stary jak piramidy faraonów, co nie oznacza, by był na długą metę bardzo skuteczny.

W każdym razie tą drogą poszedł rząd indyjski. W Bengalu, w okolicy Madras, dziesiątki tysięcy komunistów powędrowały do więzień i obozów. W niektórych prowincjach zdelegalizowa-

no partię komunistyczną. Zaczęto rozstrzeliwać, torturować, według najlepszych przepisów. Ostatnie liczba aresztowanych w ostatnich miesiącach przekroczyła 25.000.

W prowincji Telengana zabito 500 osób, w tym były również kobiety i dzieci. Równocześnie rozwiązano około 3.000 rad gminnych, które potworzyły się z okazji wyborów.

*

KIEDY nadeszły wybory, będące u władzy Stronnictwo Kongresowe znalazło się w obliczu groźnej niespodzianki. W całym kraju komuniści zaczęli zwoływać wiece, które cieszyły się ogromną frekwencją. I tak w Madras na przykład, gdzie rząd przeprowadził krwawe represje, ponad 40.000 ludzi wyległo na ulicę, by powitać pochód Partii Komunistycznej. W Cawnpore dwudziestopięć-tysięczny tłum oklaskiwał przywódcę komunistycznego Iusufa, który właśnie został wypuszczony z więzienia, gdzie przebywał ponad 4 lata.

Czy znaczy to, że Stronnictwo Kongresowe straciło już wszelkie wpływy w Republice Indyjskiej? Na pewno tak nie jest. Ale przywódcy tego stronnictwa mają coraz większe trudności z wytłumaczeniem obecnej katastrofalnej sytuacji żywnościowej oraz ich własnej, egoistycznej polityki. Należy jednak stwierdzić obiektywnie, że Pandit Dżawarlal Nehru nie przyniósł swej ojczyźnie ani dobrobytu, ani swobody. Nic więc dziwnego, że naród indyjski szukać jej będzie gdzie indziej.

Dziś wybory zbliżają się ku końcowi. Z dotychczasowych wyników zorientować się można,

że komuniści odnieśli niezaprzeczone sukcesy, zwłaszcza w prowincjach południowych. W Hajderabadzie, w okolicy Madras, w Travancore ich postępy są wręcz oszałamiające.

Z drugiej strony sam Nehru cieszy się wciąż jeszcze wielką popularnością. Ukuto nawet na użytek prostych ludzi następujące przysłowie: „Nehru rozmawia co dzień z Gandhim a świętobliwy Mahatma (Gandhi) rozmawia co dzień z Bogiem. Któż więc inny jest w stanie nam bardziej pomóc niż Pandit Nehru? Równocześnie jednak komuniści uważani są przez miliony Hindusów za „czystych”, za niemal „świętych”, w tym specjalnym znaczeniu, jakie to słowo posiada w Indiach. Przyznać należy, że rząd indyjski czyni wszystko, by owo „świętych” otoczyć aureolą prześladowań i męczeństwa.

Miesiąc temu Komitet Egzekucyjny Stronnictwa Kongresowego obradując w Delhi zastanawiał się nad:

„sposobami walki z komunizmem w Indiach i możliwościami utworzenia osobnych rządów prowincjonalnych w okolicach, w których Kongres nie posiada absolutnej większości, a gdzie Partia Komunistyczna zajmuje drugie z kolei miejsce...”

Ze tego rodzaju kwestie powstają dziś w Indiach jest rzeczą bardzo znamieną. Przyszłość trzystu kilkudziesięciu milionów, ich wolność i dobrobyt, zależą w dużym stopniu od składu przyszłego Parlamentu i przyszłego rządu Republiki.

J. P.

NOTATNIK POLITYCZNY

Radzieckie propozycje

Nota rządu radzieckiego w sprawie traktatu pokojowego z Niemcami oraz projekt formułujący podstawowe zasady tego traktatu są celem uderzeniem zadaniem siłom przygotowującym nową agresję. Najlepszym dowodem tego stanu rzeczy jest konsternacja i sprzeczność opinii towarzyszących omawianiu noty przez burżuazyjne radio i prasę zachodnią. O nieumiejętności porażenia sobie z inicjatywą radziecką świadczą również zwlekające rządu U.S.A., Wielkiej Brytanii i Francji z określeniem ich oficjalnego stanowiska wobec propozycji Z.S.R.R.

I rzecz charakterystyczna: nie innego nie stanowi zasadniczego powodu wspomnianej konsternacji, jak właśnie te punkty noty, które dla kogoś niewtajemniczonego w kulisy polityki amerykańskiej wobec Niemiec musiałyby wydać się postulatami najbardziej oczywistymi i historycznie logicznymi.

Radziecki projekt traktatu, zawiera przede wszystkim stwierdzenia pozytywne. W swej istocie jednak stanowi zdemaskowanie polityki mocarstw zachodnich i Niemiec Adenauera. Już sam fakt, bez względu na treść odpowiedzi rządów, do których nota jest skierowana — przesądza o dodatnim efekcie radzieckiego wystąpienia. Chodzi tu zwłaszcza o skutki propagandowe noty w samych Niemczech. Deklaracja rządu radzieckiego w sposób arcyniewygodny dla inspiratorów remilitaryzacji umożliwia niezdecydowanej części społeczeństwa niemieckiego zajęcie narodowego punktu widzenia w

patrzeniu na sprawę Niemiec. Oczywiście, najbardziej znaczące są tu stwierdzenia, dotyczące zjednoczenia kraju, wycofania wojsk okupacyjnych, niestosowania dyskryminacji wobec tych byłych członków armii i partii nazistowskiej, którzy nie odrywają kary z wyroku sądowego, wolności gospodarczej i prawa Niemiec do własnego potencjału obronnego. Niezależnie od politycznej słuszności wymienionych też — wytrącają one Adenauerowi i jego mocodawcom argument demagogiczne żerujące na narodowych uczuciach niemieckiego społeczeństwa.

Nie ulega wątpliwości, że tezy radzieckiego wystąpienia wpłyną również poważnie na kształtowanie się opinii publicznej w samych Niemczech. Na podkreślenie zasługują te sformułowania noty, które mają na celu nie tylko bezpośrednio dobro narodu niemieckiego, ale także zapobieżenie fałszywej jego interpretacji. Projekt traktatu wysunięty przez rząd ZSRR bardzo wyraźnie określa uchwały poczdamskie jako zasadniczą podstawę uregulowania sprawy niemieckiej i jasno formułuje konkretne warunki, których spełnianie daje pełną gwarancję, że rok 1939 już się nie powtórzy. Dla narodu polskiego i innych krajów sąsiadujących z Niemcami polityczna waga tych stwierdzeń jest ogromna. Polega ona bynajmniej nie na ich rewelacyjności, bo postulat faktycznej demokratyzacji Niemiec i uznaniu

granicy Odra-Nysa jest stawiany przez Związek Radziecki konsekwentnie od siedmiu lat — ale na tym, że rząd ZSRR kładzie na ten problem zasadniczy nacisk w akcie, który wzbudza naglejszy oddźwięk w szerokich kołach niemieckiej opinii.

I choćby w tym przykładzie przejawia się dystans, jaki dzieli metody polityczne socjalizmu od metod kapitalistycznych. Na ten typ politycznego obiektywizmu mogło sobie pozwolić jedynie państwo socjalistyczne. Dla kapitalistów bowiem niemal z reguły doraźny cel polityczny staje się celem samym w sobie, dla którego realizacji każdy chwyt jest dozwolony w myśl zasady — business is business. Trafnym wyrazem tego ostatniego stanowiska była zgoda rządu francuskiego na odbudowę neoradzieckiego Wehrmachtu, czego w gruncie rzeczy nawet francuska-burżuazja panicznie się lęka. Ale anty-socjalistyczna psychologia i uległość wobec amerykańskiego dyktatu okazały się silniejsze. Związek Radziecki tymczasem formułując postulaty w pełni uwzględniające aktualny kontekst polityczny, którego treścią jest szczegółowy problem niemiecki potrafił jednocześnie uczynić to w sposób, ani na jotę niesprzeczny, a przeciwnie podporządkowany zagadnieniu walki o postępek i pokój.

Wilhelm K. GERST

NIEMIECCY KATOLICY A POLSKA

Jeżeli za przykładem mądrej i słusznej polityki rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej uważamy za nasze zadanie spowodować przyjazny stosunek Niemiec Zachodnich, a w szczególności zachodnio-niemieckich katolików do Polski, to czynimy to dla dobra przyszłych zjednoczonych Niemiec. Aby należycie zrozumieć to zagadnienie, konieczne jest przypomnienie antypolskiej polityki dawnych Prus i Rzeszy z okresu cesarstwa, jak również stanowiska zdecydowanie przeciwnego tej antypolskiej polityce, jakie zajmowała ówczesna reprezentacja niemieckich katolików — stare Centrum. Już w roku 1886 stary Windthorst określił politykę pruską w odniesieniu do spraw Polski jako złą i zbrodniczą, ostrzegając również przed jej następstwami.

Należy uważać za klęskę narodową, że to proste i właściwe dla każdego chrześcijanina stanowisko starego Centrum zostało zaniechane przez nową zachodnio-niemiecką CDU pod kierownictwem Adenauera, głównie pod wpływem reakcji, jaka zagnieżdżyła się w jego partii oraz że niemiecko-zachodnie CDU kontynuuje dziś politykę, która niekiedy różni się od hakatyjskiej polityki Hohenzollernów. To, co wówczas nazywano germanizacją i nawracaniem na protestantyzm, występuje dzisiaj w postaci rewizjonizmu. Należy tu ponownie przytoczyć słowa Windthorsta, które wypowiedział 7 kwietnia 1886 r. przeciwko ustawie germanizacyjnej rządu pruskiego. Już przed nim wskazywali inni mówcy Centrum jak również Polacy na bezcelowość, niebezpieczeństwo i bezprawie takiej ustawy. Windthorst mówił: „ustawa ta nie jest ustawą pokoju, lecz jest ustawą walki na śmierć i życie”. Nie inaczej można określić rewizjonistyczną politykę Adenauera. To co hakatyści rozpoczęli, to Hitler po krótkiej i pozornej pokojowej epoce weimarskiej spotęgował do brutalnej polityki grabieży i wyniszczenia, która nadal ma być kontynuowana zgodnie z wolą Adenauera. Tu więc obrońcy pokoju, zwłaszcza katolicy, winni działać uświadamiająco, hamując i pojednawczo. We wszystkich strefach Niemiec należy wnieść uczucia przyjaźni dla nowej Polski.

Po Kongresie Wiedeńskim w 1815 r. Prusy przywłaszczyły sobie obszary dawnego Królestwa Polskiego. Fryderyk Wilhelm III obiecał ludności polskiej t.zw. Księstwa Poznańskiego równouprawnienie i pewną autonomię. Jednakże wkrótce stało się inaczej. Po powstaniu listopadowym w 1830 r. prezydent von Flottwell ogłosił kurs prawdziwie pruski: „System pobłażania i ustępstw przetrwał się. Szlachta i kler Polski są zaszarganymi wrogami Prus. Rząd pruski może pozyskać sobie tylko szacunek ale nie miłość Polaków”. Wreszcie Bismarck rozpoczął w 1886 roku otwartą walkę, mającą na celu wytepienie polskości.

Początkowo usiłował przeprowadzić to na polu gospodarczym, zwłaszcza w zakresie polityki agrarnej. Mowa tronowa króla pruskiego z 14 stycznia 1866 r. zapowiadała: „Wyparcie elementu niemieckiego przez element polski w niektórych prowincjach wschodnich nakłada na rząd obowiązek poczynienia kroków, mierzających do zapewnienia rozwoju i istnienia niemieckiej ludności”. Konserwatyści i narodowi liberałowie nie mogli doczekać się chwili, kiedy rząd wyda swą antypolską ustawę, oświadczając natychmiastową gotowość wyasygnowania potrzebnych środków finansowych. Kwota 100 milionów marek, która na ówczesne warunki była sumą bardzo wysoką, została uchwalona dla wzmocnienia niemieckiego stanu posiadania w

Prusach Zachodnich i w poznańskim. Fundusz ten w 10 lat później został podwyższony o dalsze 100 milionów marek, a w roku 1902 wyrażał się sumą 450 milionów.

Antypolskie ustawodawstwo zostało zakończone ustawą wyłączeniową z roku 1903 skierowaną przeciwko tym Polakom, którzy nie chcieli dobrowolnie sprzedać swej ziemi Komisji Kolonizacyjnej, celem przekazania jej niemieckim kolonistom. W ustawodawstwie pruskim zawarte były te wzory, które później w swej praktyce zastosowali naziści. Katolicy partii centrowej zwalczyli zawsze te niesprawiedliwe ustawy.

Słusznie nazwano otwarcie antypolską politykę rządu pruskiego, która z całą bezwzględnością stosowała ucisk w stosunku do szkół polskich, a nawet zabraniała nauki religii w języku polskim, świadomą polityką szerzenia protestantyzmu. Już w roku 1886 poseł partii Centrowej von Scholemer-Alst powiedział w parlamencie: „Uczyniono by lepiej, gdyby wydano ustawę tylko o dwóch paragrafach. Można by wprost napisać: Ustawa dla germanizacji i protestantyzacji prowincji Zachodnio-Pruskiej i Poznańskiej, a wówczas można by powiedzieć w § 1: premier otrzymuje do swej dyspozycji 100 milionów marek dla celów germanizacji i protestantyzacji pro-

wincji Zachodnio-Pruskiej i Poznańskiej”.

Owa antypolska polityka pruska nie osiągnęła nigdy zamierzonego celu. Przeciwnie, wzmocniła ona poczucie narodowe Polaków i przeniosła je nawet na te tereny, które wiecześnie 100 lat temu zostały politycznie od Polski oderwane. Już w roku 1880 pruski minister oświaty oświadczył w Sejmie, że na Śląsku ludność coraz liczniej przechodzi do polskiej opozycji. Powiedmy jeszcze słów parę o przeprowadzanej germanizacji i protestantyzacji ziem polskich. Katolicy niemieccy świadomie trzymali się z dala od tej sprawy. Postawa ich partii była dla nich wskazówką. Nigdy nie było możliwe znalezienie dostatecznej ilości nauczycieli katolickich decydujących się na wyjazd na te tereny, gdyż nie chcieli oni brać udziału w akcji germanizacyjnej, pomimo dość wysokich dodatków do pensji. Później wprawdzie zmuszono nauczycieli katolickich do przeniesienia się na ziemie polskie, którzy tylko pod tym warunkiem mogli potem otrzymać posadę na zachodzie. Fakt ten jednak nie dowodzi, że wszyscy ewangelicy niemieccy uprawiali politykę antypolską. Należy osądzić ich według przynależności partyjnej. Wolnomyślni demokraci nie zgadzali się z tą polityką. Zgodnie z tym stanowiskiem zachowywała się ich

frakcja w sejmie pruskim. Jednakże wszyscy, którzy należeli do nacjonalistycznych i reakcyjnych partii, w poczuciu swej wyższości nad poddanymi chętnie tę politykę uprawiali i równie chętnie korzystali z finansowych korzyści tego milionowego funduszu, gdyż każdy nacjonalistyczny czyn nagradzano w Prusach z kasy państwowej. Wielu z nich oraz wielu z ich potomków należało do tych, którzy w latach 30-tych udawali w Polsce „uciemiężonych volksdeutschów” i pomagali w technicznym przygotowaniu wojny hitlerowskiej. Dzisiaj ci sami ludzie udają niesłusznie prześladowanych i są najgłośniejszymi krzykaczami i prowodyrami rewizjonizmu.

Od czasów Windthorsta zachodnio-niemieccy katolicy oraz ich partia centrowa występowała w parlamencie przeciwko zbrodniczej antypolskiej polityce pruskiej ramię przy ramieniu z Polakami wszystkich ugrupowań politycznych. Jest właściwym, że katolicy zachodnich Niemiec przypominają sobie o tych dobrych tradycjach i skoro dawniejsza krzywda została Polakom naprawiona, nie można dopuścić, by nowa antypolska fala zalała możliwość przyjacielskich stosunków. Winni oni uwolnić się potrzasku, w jakim znaleźli się na skutek polityki Adenauera, z punktu widzenia partyjno-politycznego przez związek

CDU z pozostałościami starych, reakcyjnych partii, a z punktu widzenia państwowo-politycznego przez jego usiłowania, by Niemcy zachodnie zmusić do antywschodniej, t.zw. europejskiej integracji, która nie służy niczemu innemu jak tylko wojnie inspirowanej przez Amerykanów. Czy jest Polska dla Amerykanów? Może stacją benzynową dla ich czołgów, gdyby ziściły się ich awanturnicze plany. Dla nas wszakże Polska jest sąsiadem i przyjaźnionym krajem, z którym od dawna łączą nas związki kulturalnej, religijnej i gospodarczej natury. Polska jest krajem, którego ludność pragnie pokoju i przyjaźni z Niemcami, jak to wykazała ostatnia wielka manifestacja polskiego kleru i katolików świeckich.

Dlatego musimy wszyscy, a zwłaszcza my, zachodnio-niemieccy katolicy pomóc, ażeby znikły ślady ogromu krzywd wyrządzonych w przeszłości Polakom. Wielki przywódca centrowy Windthorst, który pierwszy jako katolik potępił następstwa pruskiej polityki antypolskiej, niechaj będzie nam w swoich mądrych wypowiedziach doradcą w zabieganiu o przyjaźń Polski. Słowa jego wypowiedziane przeszło 80 lat temu mają w nowych warunkach politycznych wielkie znaczenie, gdyż są to słowa pokoju, humanizmu i sprawiedliwości.

J. Z.

W. K. G. — DIENST AUS BONN

Unabhängige Presse-Korrespondenz
Nachrichten / Berichte / Kommentare

Verfasser: Wilhelm Karl Gerst

Postscheck: Frankfurt a. M. 85545

Erscheint im Progreß-Verlag Frankfurt am Main

W. K. G. — co oznacza ten skrót?

Są to pierwsze litery imienia i nazwiska, stanowiące niemal nazwę pisma. Ani nazwisko nie należy do najgłośniejszych w świecie, ani pismo nie ma rozgłosu na miarę europejską. Ale i nazwisko i pismo zajmują określoną pozycję w obiegu bojowników o sprawę pokoju i zjednoczenie Niemiec.

Rozwińmy skrót: „W. K. G.” to Wilhelm Karl Gerst, a jego pismo to „W. K. G. — Dienst aus Bonn”. W określeniu „jego pismo” większą przesadą jest rzeczownik, niż zaimmek. Bo, że jego, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Sam je redaguje, sam je wypełnia od pierwszej do ostatniej strony, od artykułu wstępnego, poprzez wszystkie informacyjne i polemiczne, aż do notek końcowych. Ale „pismo” to i za mało i za dużo powiedziane. Tych kilkanaście niebieskich kartek maszynopisu odbitych na hektografie, spiętych spińczem, nie jest normalnym tygodnikiem, ale jest jednocześnie czymś więcej, bo jest czołową wyprawą, konsekwentnej i odważnej walki o pokój, walki przeciwko adenauerowskim i amerykańskim zakusom rewizjonistycznym i remilitarystycznym, walki prowadzonej w samym centrum knozań marionetkowego rządu w Bonn. Stamtąd rozsyła Gerst w świat, do wszystkich postępowych środowisk chrześcijańskich, swoje alarmy, protesty, materiały i przemyslenia, służące odkłamywaniu adenauerowskiej polityki, pietnowaniu pseudo katolickich kłamstw, wspieraniu idei pokoju.

W uznaniu jego niewątpliwych zasług warto na marginesie wielkich rocznic, które obchodzą cały świat i które cały świat obchodzi, uczcić skromną rocznicę jednego z żołnierzy — oficerów milionowej armii ludzi dobrej woli. W gronie przyjaciół święci Wilhelm Karl Gerst 65 rocznicę swoich urodzin. Rozszerzmy to grono. Trudna i wytężona praca Gersta, praca, która jest walką, zobowiązuje nas do tego.

Wilhelm Karl Gerst dobrze służy sprawie pokoju. Jego „W. K. G. — Dienst aus Bonn”, ta — jak zaznacza w bezpretensjonalnym podtytuł autor i redaktor — „unabhängige Presse-Korrespondenz” (niezależny serwis prasowy), zawierająca „Nachrichten, Berichte, Kommentare” (wiadomości, sprawozdania, komentarze), stanowi na pewno nie najważniejszy, ale istotny, może nie w ogólnoswiatowej czy ogólnoeuropejskiej, ale bez wątplenia w ogólnoniemieckiej skali element walki o realizację najważniejszego z zadań ludzkich wszystkich ras, narodów i poglądów.

Będąc katolikiem Gerst podjął bezkompromisową walkę z zakłamaną polityką pseudokatolickiej partii Adenauera. Szczuty przez mnóstwo pism i pismaków neo-hitlerowskich, szkalowany i atakowany na różne sposoby, otoczony sforą ujadających szowinistów i wyznawców pośpiesznie zweryfikowanego „mitu dwudziestego stulecia” stoi konsekwentnie na stanowisku obrońcy sprawy słusznej i zwycię-

skiej, odplera ataki, atakuje sam w sposób trochę partyzancki, z konieczności, podjazdowy, ale twórczy, w jakiś sposób heroiczny i w ogólnym obrachunku — dla nas pomocny.

Spójecznie i politycznie funkcja jego pisma, ograniczona trudnościami technicznymi, nie sprowadza się do roli dokumentu historycznego czy manifestacyjnego protestu, lecz w konkretnym układzie tamtych warunków polega na wzmacnianiu i pogłębianiu świadomości ideowo-politycznej prawdziwie postępowych chrześcijan w Niemczech Zachodnich. Funkcja ta zmienia się i rozszerza w oczach Polaka. Czytając pisane z benedyktyńską pracowitością i wielką pasją nieliczne kartki nadchodzących regularnie „Dienstów” można głębiej wejrzeć w trudności sytuacji tych ludzi, którym działać przyszło w otoczeniu wrogiej idei pokoju i podlegającym bezpośredniej infiltracji wpływów kapitalizmu amerykańskiego. Głębsze wejście w trudności tej sytuacji uwyraźnia osobliwą zasługę i wkład w ogólną akcję pokojową, dokonany przez Gersta.

Tym godniejszy on podkreślenia, że jest konsekwencją określonej postawy światopoglądowej, konsekwencją całego, dotychczasowego życia. Wspominając minione 65 lat może Wilhelm Karl Gerst spojrzeć na nie ze spokojem człowieka, umiającego walczyć o rzeczy słuszne i piękne.

Już od wczesnej młodości (urodził się 28 marca 1887 r.) uczestniczył czynnie w ruchu katolickiej młodzieży. Jako syn robotnika murarskiego z trudem zdobywał wykształcenie. Uczył się pracując jednocześnie w charakterze pomocnika murarskiego. W roku 1907 jest już architektem — asystentem prof. Haeselera. W 1910 wydaje swoją pierwszą książkę „Caritas-hilfe in der Seelsorge” (Caritas w trosce o dusze). Wkrótce potem siada za biurkiem redaktora naczelnego w „Hildesheimer Zeitung” (organ Centrum). Zaczyna pracę w dziedzinie kultury. W r. 1916 zostaje sekretarzem generalnym w założonym przez siebie Towarzystwie Krzewienia Kultury Teatral-

nej. W 1919 obejmuje urząd dyrektora Związku Teatrów Ludowych. W 1923 r. przechodzi do pracy nad organizacją koncertów i opieki nad kulturą muzyczną. W 1932 zostaje dyrektorem Wydziału Kinematografii.

Reżim hitlerowski nie mógł go ścierpieć. W 1933 roku Goebbels zwalnia go ze wszystkich urzędowych stanowisk. Gerst zakłada w Monachium wydawnictwo św. Jerzego, mające prowadzić planową akcję kontrnazistowską. Wydawnictwo zlikwidowano, inicjatorem zajęło się gestapo. Przesiedział około dwóch lat w więzieniu.

Po wojnie założył w rodzinnym Frankfurcie nad Menem pismo „Frankfurter Rundschau”, jednak Amerykanie w końcu 1946 roku cofnęli mu licencję, gdyż nie odpowiadała im linia tego pisma. Gerst nie zrezygnował z walki. W roku 1949 przeniósł się do Bonn i tu pierwsze litery jego imion i nazwiska stały się niemal nazwą nowego pisma. Znamy już ten skrót. Wiemy, co on oznacza.

Dlatego właśnie Gerst był wśród gości niemieckich, zaproszonych przez katolików polskich na manifestacyjny zjazd wrocławski ubiegłego roku. Dlatego rocznicę jego urodzin chcemy uczcić choćby skromnym podkreśleniem jego zasług. Oczywiście, wolno przypuszczać, że nie we wszystkich ideologicznych przemysleniach czy szczegółowych koncepcjach jesteśmy zgodni. Na pewno istnieją między nami pewne różnice precyzji ideologicznych, wynikłe z odmiennych uwarunkowań geo-politycznych i odmiennego doświadczenia historycznego. Ale na pewno także w tej ciężkiej służbie idei pokoju łączą nas silna więź.

Ta pewność i nasze uznanie dla wyteżonej pracy w imię chrześcijaństwa i w imię pokoju, pracy prowadzonej konsekwentnie przez W. K. Gersta, pogłębiają naszą przyjaźń. Tak rozumiana przyjaźń wzmacnia szczerze nasze życzenia, by dalsze lata pięknej służby były jeszcze piękniejsze, by realizacja troski o lepszą przyszłość świata była zawsze naszą wspólną sprawą.

L. Z.

Rudolf BUCHAŁA

Dobro doczesne a Królestwo Boże

KATOLIK całe życie doczesne traktuje tylko jako drogę i przygotowanie do życia innego, które nie ma się nigdy skończyć. Życie, na które ma wierzący zasłużyć swoim pielgrzymowaniem doczesnym, jest jedno i niezmiennie, a jego treścią oglądanie Boga twarzą w twarz w szczęśliwości wiecznej. Owo doczesne pielgrzymowanie odbywa się zawsze w innych, zależnych od rzeczywistości historycznej warunkach. Nie zawsze rozumieją to katolicy. Wiedząc o niezmienności i nieprzemijalności Królestwa Bożego chcieliby również drogę ziemską doń wiodącą znać zawsze i wszędzie taką samą w oderwaniu od warunków historycznych, których istotą jest zmienność i przemijalność. Wyrazem tej tendencji, wyrazem pięknym i wzniosłym, ale bezpowrotnie należącem do przeszłości, był

ŚREDNIOWIECZNY IDEAL SACRUM IMPERIUM

Charakteryzowało go pięć cech:

1. Dążność do jedności społecznej doczesnej, opartej na jedności duchowej. Maritalin nazywa ją jednością organiczną maksymalną. Jej ośrodkiem było życie osoby ludzkiej jako przeznaczonej do życia poza doczesnym. Wszystko co doczesne musiało więc być podporządkowane tak pojętej jedności. Przenosiło to logicznie do drugiej osoby, która było —

2. Poimowanie wszystkich spraw doczesnych oraz ich własnego celu tylko jako środka w stosunku do życia wiecznego, czyli jak mówi Maritalin, cywilizacja pełniła funkcję przyczynę instrumentalnej to jest takiej, „która rozwija swą działalność jako przyczyna tylko wówczas, kiedy jakiś wyższy czynnik nią zawiadnie w jakimś celu i która wtedy sprawia skutek przewyższający jej naturę” — jak na przykład rylec w rękach artysty. Tak pojęta rola czynnika doczesnego prowadziła oczywiście do —

3. posługiwania się środkami doczesnymi i politycznymi, więc i aparatem państwowym (a zatem i przymusem). I to stanowiło trzecią cechę.

4. Ten aparat państwowy, ściślej mówiąc władza będąca jego treścią, miała charakter sakralny czy li była pojmowana jako coś, co ma charakter wybitnie religijny. Stosunek władcy do poddanego był nadto przedstawiany jako stosunek ojca do dziecka. Jako bese-dyktynski, założony jeszcze przed właściwym średniowieczem, zakon, gdzie opat jest ojcem, a mnisi są jego dziećmi, doskonale ilustruje średniowieczny ideał władzy. Tak wygląda czwarta cecha Sacrum Imperium.

5. Skoro cywilizacja doczesna jest tylko o środkiem do właściwego przeznaczenia człowieka, to nie w tym dziwnego, jeżeli ówczesny chrześcijanin uważał, że kierunkiem rozwojowym tej cywilizacji i jego zadaniem powinno być dążenie do realizacji Królestwa

Bożego na ziemi, wzniesienie „olbrzymiego zamku obronnego, na którego szczycie miał zasiać Bóg”. Oto ostatni rys charakterystyczny historycznego ideału Sacrum Imperium.

ROZBICIE JEDNOŚCI DUCHOWEJ I AUTONOMIZACJA CZYNNIKA DOCZESNEGO

KIEDY analizujemy ten ideał, wydaje on się nam typowym dla średniowiecza. Ale nie zapominajmy, że o ile dzisiaj jest on oczywiście anachronizmem, wtedy był realny i dobry wobec jednolitości duchowej ochrzczonej ludzkości.

Dzisiaj, a nawet już na długo przedtem, stał się anachronizmem. Dlaczego? Po średniowieczu przysła reformacja i odrodzenie. Pierwsza przekreśliła jedność duchową ochrzczonej ludzkości, naruszoną zresztą już przedtem przez odłączenie się Kościoła wschodniego od Rzymu. Odrodzenie zaś zapoczątkowało erę autonomizacji czynnika doczesnego, który domagał się uznania jego własnego celu jako celu samego w sobie, a nie tylko jako środka, jako przyczyny instrumentalnej dla celu doczesnego. (Autonomizacja nie oznacza naturalnie całkowitej niezależności). Zaczęto coraz ściślej różnić cesarskie od boskiego. Rozróżnienie nie oznacza oczywiście przeciwstawienia, ale stanowi niezbędny wysłək w celu rozgraniczenia porządków przyrodzonego i nadprzyrodzonego, poznania ich zasady i praw w nich rządzących. Kryształizowało się więc pojęcie porządku przyrodzonego ze społecznością ziemską i państwem jako wyrazem jej najwyższej formy organizacyjnej. Od tego porządku zaczęto dokładniej różnić porządek nadprzyrodzony z jego społecznością, którą jest Kościół Katolicki jako Mistyczne Ciało Chrystusa. Zaczęto ściślej wyodrębniać cel społeczności ziemskiej.

Podczas gdy celem społeczności nadprzyrodzonej jest zbawienie duszy, celem społeczności przyrodzonej jest doczesne dobro wspólne. Zmienia się jednak odtąd pojęcia tego ostatniego. Z czystego środka służącego do innego, nadzadnego celu, staje się ono celem samym w sobie, choć dla katolika tylko celem pośrednim na drodze do ostatecznego, którym jest osiągnięcie szczęśliwości wiecznej. Tym celem pośrednim są optymalne warunki życia materialnego i kulturalnego wszystkich ludzi na ziemi.

Potwierdzeniem tej zmiany pojęciowej doczesnego dobra wspólnego jako celu społeczności ziemskiej są słowa Leona XIII z encykliki Immortale Dei, gdzie ujmuje to Państwo od strony władz działających kompetentnie w dwóch przedtem różnicowanych porządkach: „Bóg podzielił między władzę duchową i władzę świecką troskę o dobro rodzaju ludzkiego. Pierwszej z nich powierzył sprawy boskie, drugiej sprawy ludzkie. Każda z nich jest

zawarta w granicach doskonale ustalonych, nakreślonych zgodnie z ich naturą i zasadą. Każda z nich jest więc zakreślona w sferze, w której może działać i poruszać się dzięki prawom, które są jej właściwe”.

Wskutek rozbicia średniowiecznej jedności duchowej społeczności doczesnej, dobro wspólne musi się więc stać dziełem ludzi o różnych przekonaniach religijnych, a religijnych czy nawet antyreligijnych. Takie stwierdzenie nie może budzić zastrzeżeń u ludzi wierzących. Wszak płaszczyzna współpracy nad osiągnięciem jak najlepszych warunków bytu materialnego i kulturalnego dla wszystkich ludzi nie jest platformą, gdzie mają się rozstrzygać spory światopoglądowe. Płaszczyzną właściwą dla tego problemu stanowi dyskusja światopoglądowa i ideologiczna.

Chodzi jednak o to, aby przy pracy nad dobrem doczesnym nie zagubić jego charakteru ogólnego. A właśnie zachodził to wówczas, gdy ludzie tak jak na przykład hitlerowscy narodowi-socjaliści, dają jako do celu końcowego, do jak najlepszych warunków życia dla pewnych tylko grup ludzkich — rasy nordyckiej czy „Herrenvolku” — jakieś to częściowo od nich styszeli. W takim wypadku bowiem dobro doczesne przestaje być ogólnym, a stanie się dobrem wyłącznie partykularnym.

Natomiast fakt, że osiągnięcie jak najlepszych warunków życia materialnego i kulturalnego dla wszystkich ludzi na ziemi stanowi dla kogoś kres i uwłóczenie jego działalności, stanowi cel, dla którego gotów jest poświęcić życie, aby tylko uczynić je bardziej godnym człowieka — dla kogoś innego zaś cel ten stanowi tylko pewien etap na drodze wiodącej dalej, do szczęśliwości wiecznej, fakt ten nie może stać się przeszkodą, że na wspólnym odcinku drogi ci dwaj partnerzy razem będą się starać przewycięzać piętząc się trudności.

Tak wygląda problem od strony ideologicznej. Tak wygląda on również od strony rzeczywistości. W XX wieku doczesne dobro wspólne może być osiągnięte tylko przez współpracę ludzi wierzących i ludzi niewierzących światopoglądu religijnego. Tym samym również państwo jako wyraz władzy, która ma powierzone osiągnięcie celu właściwego społeczności ziemskiej, musi stracić swój charakter sakralny. Tego wymogu rzeczywistości społecznej liczni katolicy nie mogą dostrzec, nie potrafią zrozumieć, że konkluzją ta jest tylko logicznym następstwem faktów o. mówianych wyżej. Obowiązują się, że oznacza ona stratę dla Królestwa Bożego.

PRZEŻYTKI TEOKRATYZMU

JEŻELI w XIX, a nawet jeszcze w XX wieku w niektórych społeczeństwach chrześcijańskich głowy państw, zwłaszcza monarchowie, byli równocześnie głowami Kościołów — to stan ten był właśnie wyrazem liczących kierunków chrześcijańskiej myśli społecznej i oczywiście błędem teologicznym.

Ale te rekwizyty minionych czasów łączy się nie tylko z ustrojem monarchicznym. Bywają również demokracje teokratyczne, albo o tendencjach teokratycznych — choćby stwierdzenie to mogło się wydawać paradoksalnym. Przykład znajdujemy w niedawnej przeszłości polskiej. Jeżeli głosiło się przed wojną hasło: „Polska przedmurzem chrześcijaństwa”, gdy równocześnie setki tysięcy ludzi były

bez pracy cierpiąc głód i chłód na skutek łamania się gospodarki kapitalistycznej, o której nie da się powiedzieć, aby była z ducha chrześcijańska — to nie za ostre będzie stwierdzenie, że było to hasło bez pokrycia. Szczęk oręża i zwycięstwa osiągnięte przelewem cudzej krwi nie są bowiem zwycięstwami Królestwa Bożego. Jeżeli zaś hasło takie i jemu podobne były świadomie stosowane dla pokrycia zła działającego się po „wewnętrznej” stronie owego „przedmurza” — nikt chyba nie zaprzeczy, że stawało się bluźnierstwem.

Znana, a jakże często nawet jeszcze dzisiaj słyszana dewiza: „Bóg i Ojczyzna”, jest także niczym innym jak echem minionych czasów; zamiast nieść w trud dnia codziennego ewangeliczną sól ziemi, która mogłaby stać się zarodkiem Królestwa Bożego w duszy każdego, kto chciałby ją przyjąć, widziano tylko jakąś wyidealizowaną Ojczyznę wśród powiewu sztandarów kroczących jako mesjasz narodów wprost ku wieczności. Ta pozbawiona jakichkolwiek czułości przesyłanki uczuciowa wizja nie miała oczywiście żadnego pokrycia w rzeczywistości.

Rezultatem tego było znowu nadawanie sprawom doczesnym cech ponadczasowości, przywdziewanie im w szaty sakralności. Jeżeli ktoś ma trudność w zrozumieniu tego, że katolicy nie modlą się tylko po polsku, ale również na przykład po niemiecku czy francusku — to fakt ten chyba najlepiej ilustruje jaka jest między innymi spuścizna wspomnianego frazesu. A z faktem takim spotkać się nie trudno.

WESELE W DUCHU ŚWIĘTYM

Tak czy inaczej tezy teokratyczne są dzisiaj przeżytkiem, są spóźnione o paręset lat. Ludzie głoszący je są jak ludzie średniowiecza, którzy to chcieli zbudować Bogu zamek obronny na ziemi siłami i metodami ludzkimi. Nie rozumieją oni jednej rzeczy, która jest istotną, że upadek pewnej cywilizacji, nawet cywilizacji teokratycznej nie oznacza bankructwa religii. Klęski tego świata nie są bowiem niepowodzeniami Królestwa Bożego — a ziemskie zwycięstwa nie przyczyniają się do jego triumfu. „Wymagać dla Królestwa Bożego i dla Prawdy Bożej takich triumfów jak dla społeczności ziemskiej, albo jakiejś cywilizacji... jest swego rodzaju imperializmem in spiritualibus... i podobne jest do błędu, który polega na wiązaniu katolicyzmu z jakąś cywilizacją ziemską, co stanowi swego rodzaju nacjonalizm in spiritualibus... Ludzie, których niepokoi ten lęk, „traktują nawrócenie się duszy przede wszystkim jako strategiczne wzmocnienie dla jakiejś armii, albo zdobycz, którą można zapisać jako osiągnięcie w polowaniu. Nawrócenie duszy nie jest jednak operacją polityczną czy strategiczną. Przedsięwzięcia tego rodzaju są przegrane, gdy tracą teren przedtem zdobyty. Lecz powrót duszy do Boga, nawet jeśli się ona miała potem znów od Niego odwrócić, jest wydarzeniem zapisanym w niebie, świadectwem mającym wartość same przez się i obietnicą, której ostateczne wypełnienie uchyla się z naszego widnokręgu”. „Królestwo Boże bowiem nie jest ani pokarmem, ani napojem, ale sprawą. dlugocią i weselem w Duchu Świętym”. (Rzym, 14,17).

Rudolf Buchala

Kali
SYLWETKI
Zdarzenia

J. I. Kraszewski

NALEŻAŁ do wielkich w dziejach naszej kultury, których wielkość jest formą, obejmującą umiłowanie własnego narodu. Lecz wiemy: umiłowanie narodu może przejawiać się rozmaicie, a w porobiorowej Polsce, u romantyków (pomimo niestrudzenia czynnego (pomimo niestrudzenia czynnego) zmysłu praktycznego Kraszewski był zawsze romantykiem) nieraz zatręcało o szaleństwo.

Nic podobnego u Kraszewskiego.

Miłował on swój naród w sposób normalny, rozsądnie i zdrowo i ani myślał dla pięknych oczów Ojczyzny rzucać się w bajroniczne awantury, w mesjanizmy nie z pierza i nie z mięsa i w kłótnie zęb za zęb z Panem Bogiem. Zwłaszcza ani myślał zamykać się w jednym z Ojczyzny grobie. Sam pelen niesamowitej wprost pasji życia chciał, po prostu, ażeby żyła i ciągle się trwożyła, czy w umiłowanej nie słabnie aby tętno, czy oko nie traci blasku dumy i wytrzymuje potworną hypnozę niewoli, czy aby po upadku obu Powstań, Listopadowego i Styczniowego, nie zbliża się najstraszniejsza z katastrof — letarg.

„Pobudźciel” — tak nazwał siebie, gdy na parę lat przed końcem obejrzał się na dokonane dzieło. Pobudźciel, ten, co siłą odwozdi naród od snu, gorszego od śmierci.

Siłą?

Jaką?

Siłą ducha, zawartą w pracy.

Olbrzym pracy. Mały, drobny, cherkawy, wypisz — wymaluj, drugi Matejko, wychodził niejako poza powłokę cielesną, dwoił się, troił, bez przesady ustokrotniał i bez ustanku tworzył, bez chwili wytchnienia gromadził wokół budulec i to tu, to tam zaczynał kłaść fundamenty pod gmach kultury wiekowiec żywej, gdzie mieliśmy zamieszkać, rozkuwszy z kajdan Ojczyznę. Postać, naprawdę, na miarę Renesansu. Lub mówiąc nowoczesniej, „omnibus” — krytyk, estetyk, historyk, monografista, wydawca, esseista, publicysta, skory do „Rachunków” z czasami i ludźmi, poeta i dramaturg, popularyzator, rozczytywany przez młodzież i lud beletrysta, zapanbrat obok europejskich, Ety Hoffmana, Jean Paul'a, Balzaka i Wiktora Hugo, z nas zaś prekursor i wzór Rzewuskim, Korzeniowskim, Chodźkom, Szytrmerom, Szajnochom i wielu innych od Sienkiewicza do Gołubiewa. Bagatela — moi kochani — 600 tomów w dorobku. Nawet Lope, nawet Arouet, nawet tata Dumasa na tyle się nie zdobyli.

Któryś z krytyków literackich za wyrokował (po kie lichu ukrywając — stary Chmielowski), że w owym dorobku brak arcydzieł, daleko Kraszewskiemu do geniuszu.

Ejże.

Raczej podzielmy przeciwopinię, której autorem Aleksander Świętochowski, że pierwiastek geniuszu tkwi w ogromie pracy Kraszewskiego, i ślepy, kto tego nie widzi, nie wdzięczny, kto mu nie wznosi za to pomników

POEZJE ZEBRANE JERZEGO LIEBERTA

ukazały się nakładem

INSTYTUTU WYD. „PAX” WARSZAWA

Zamówienia prosimy kierować do

Biura Sprzedaży W-wa Mokotowska 43

Konto P.K.O. I-8515

Cena zł. 25. —

Janina NUCKOWSKA

OSSOLINEUM — WCZORAJ I DZIŚ

ROZMACH i tempo, w jakich rozrasta się nowe, odrodzone po wojnie Ossolineum, przeszczeplone na grunt polskiego Wrocławia, wzbudzają podziw tych, którzy znają jego chlubną historię, jego niedołą-

łały z powodu niedołądnej gospodarki w majątkach fundacji. Dwudziestolecie międzywojenne nie różniło się pod tym względem wiele od lat poprzednich — a trudności gospodarcze, kryzysy, inflacja — odbijały się

władz Zakład nie otrzymywał nigdy żadnych subwencji. Jedynie pomoc Towarzystwa Przyjaciół Ossolineum i rozwój wydawnictw pozwalał na utrzymanie Biblioteki i Muzeum. Wydawnictwo miało poważne osiągnięcia — wydania zbiorowe Sienkiewicza, Słowackiego, zbiorowo opracowaną „Historię sztuki”, dzieła Ingardena, Ingłota, Ujejskiego, Zakrzewskiego i innych. Od roku 1932 Ossolineum przejmując wydawnictwo Biblioteki Narodowej, kontynuowane z powodzeniem i dziś.

Aby zdobyć potrzebne zasoby pieniężne — nie mogło się Ossolineum ograniczać do wydawnictw naukowych, lub bibliofilskich: zdane na własne siły — musiało często odstępować od zasadniczej linii wydawniczej, wydawać nie tylko podręczniki szkolne, których część przeznaczano dla ubogiej młodzieży bezpłatnie) — ale także różne drobne, ale za to dochodowe broszurki, nierzadko o treści bardzo dalekiej od zagadnień nauki i sztuki — np z dziedziny myślistwa, sportu, poradniki weterynaryjne itp.

WOBEK ciasnoty, panującej w Bibliotece, warunków urągających przepisom higieny bibliotecznej — Instytucja mogła stosować tylko półśrodki, bo takie projekty, jak budowa nowego gmachu, pozostawały w sferze marzeń. Organizacja wewnętrzna Biblioteki pozostawiała wiele do życzenia; ruch czytelnicy mała; personel liczył kilkanaście załadowców, etatów naukowych było kilka. Niemniej Ossolineum prowadziło ruchliwy tryb życia: cochoły jubileuszowe, wieczory dyskusyjne

Pamiętnika Literackiego, wystawy (m. in. „Stulecie Pana Tadeusza”) — ściągali publiczność.

II wojna światowa wywarła swój wpływ niszczytelni także i na Ossolineum. Bilans strat jest poważny. Bo i zbiory padły częściowo ofiarą bombardowań i rabunku, dokonywanego przez hitlerowców, którzy m. in. wywieźli cenny zbiór rysunków Dürera — i ludzie — wyczerpani ciężkimi warunkami, więzieni, mordowani — w niewielkiej liczbie doczekali wyzwolenia. Ossolineum przetrwało jednak ten okres próby.

Zbiory przekazane narodowi polskiemu przez Związek Radziecki przewieziono do Wrocławia, nowej siedziby dawnego Ossolineum. Fakt ten zawdzięcza Zakład w dużej mierze zmarłemu niedawno Jerzemu Borejszy, który w latach 1939 — 40 był dyrektorem Ossolineum i inicjatorem wystawy Mickiewiczowskiej. Jerzy Borejsza nazwał Ossolineum „największym skarbem kultury i historii Polski — jednym z największych tego typu w Europie” — i przyczynił się do utrzymania Ossolineum jako całości właśnie we Wrocławiu, wbrew postulatom innym ośrodków uniwersyteckich.

W r. 1946 przekazane nam mienie ossolińskie znalazło się w zniszczonym przez bombardowanie gmachu b. gimnazjum św. Macieja, przy ul. Szewskiej.

I tu zaczyna się nowa karta w dziejach Ossolineum.

Remont położony w pięknej, starej dzielnicy uniwersyteckiej, budynku, prace nad udostępnieniem zbiorów, oto jakie ciężkie zadania spadły

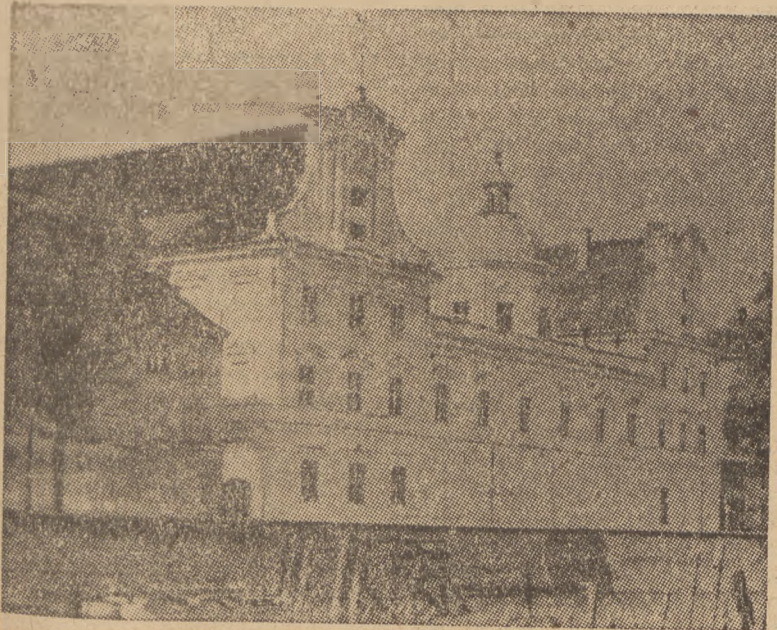
na barki garsci dawnych i nowych Ossolińczyków. Kto nie brodził wśród stosów zakurzonych książek, nie nosił ich w zarabiałych rękach przez schody i lodowate korytarze do tymczasowych magazynów, nie cieszył się z odnalezienia jakichś „białych kraków” wśród masy mało wartościowych broszurek — ten nie wie jak rośnie nowe Ossolineum.

Opieka i dary mecenasów prywatnych zależały od ich chęci, może nawet dobrych, ale nie zawsze zdolnych zaspokoić aktualne potrzeby — i stwarzały ciągły stan niedosytu finansowego, a przestarzały ustrój Zakładu stał na przeszkodzie w jego unowocześnieniu.

Obecnie Zakład Narodowy im. Ossolińskich subwencjonuje Prezydium Rady Ministrów. Praca Ossolineum harmonizuje z nurtem współczesnego życia naszego narodu. Narodowy, a p r a w d e Narodowy jest Zakład im. Ossolińskich. „Czytelnik — przede wszystkim. O nim się teraz myśli na pierwszym miejscu — dla niego wprowadza się innowacje” — mówi dyrektor Biblioteki, Dr Fr. Pajczkowski. Innowacje te to szereg nowoczesnych technicznych i organizacyjnych urządzeń, służących lepszej obsłudze czytelników, a zwłaszcza będący już na ukończeniu dostępny dla wszystkich katalog systematyczny, zakładany w trudnych warunkach 1947 roku.

Dumą Ossolineum były i są jego rękopisy, starodruki oraz zbiory grafiki.

(Dokończenie na str. 7)



Jenną i zwłaszcza jego trudne, wrocławskie początki. Wzbudzają podziw — ale nie zdziwienie — bo przecież Ossolineum posiada już dawną tradycję pracy, ofiarności i umiłowania kultury.

Już od chwili ufundowania, tj. od roku 1826, walczyło Ossolineum z trudnościami bardzo poważnej natury: a więc z wrogą postawą władz austriackich i z brakiem dostatecznych funduszy, potrzebnymi na remont, a właściwie na całkowitą przebudowę gmachu, mieszczącego zbiory. Znamienny jest fakt, że bezinteresownym kierownikiem robót architektonicznych był przez trzy lata, bo aż do wybuchu powstania 1830 r. — kapitan Józef Bem, późniejszy słynny generał.

Ossolineum nie ograniczało się do gromadzenia skarbów kultury polskiej — pragnęło je także, wbrew zakazom zaborcy, rozpowszechniać. Toteż w r. 1833 policja austriacka wykryła, że drukarnia Ossolineum tłoczy i kolportuje nielegalne wydawnictwa, m. in. utwory Mickiewicza i „Pieśni patriotyczne z czasów rewolucji polskiej”. Naraziło to pracowników Zakładu Narodowego im. Ossolińskich na represje, a ówczesny jego dyrektor, Konstanty Słotwiński skazany został na 8 lat więzienia w twierdzy Kufstein w Tyrolu.

Stosunek władz austriackich do Zakładu był zresztą zawsze niechętny. Miało natomiast Ossolineum prawdziwe szczęście do ludzi. Już jego twórca i założyciel, Józef Maksymilian Ossoliński — był nie tylko zamiłowanym bibliofilem i zbieraczem — ale także dużej miary uczonym, autorem 4-tomowego dzieła pt.: „Wiadomości historyczno-krytyczne”, człowiekiem postępowym i szlachetnym. Ofiarność jego dla ufundowanego przezeń Zakładu doszła do całkowitego samozaparcia, a jego stosunki z Czackim, Lelewlelem, Bandtkiem, a przede wszystkim z S. B. Lindem, który porządkował zbiory Biblioteki i tu zbierał materiały do swego słownika — świadczy o rzetelności jego zamiłowań i celów. Ale i po śmierci Ossolińskiego zapisują się trwale w historii Z. N. im. O. nazwiska ludzi tej miary — co: A. Bielowski, J. Dzierżkowski, K. Szajnocha, K. Ujejski, Romanowski, W. Kętrzyński, długoletni dyrektor Zakładu, autor cennych prac z zakresu historii, a zwłaszcza dzieła „O ludności polskiej w Prusach niegdyś krzyżackich”.

W ciągu stu lat istnienia Ossolineum — cenne zbiory biblioteczne i muzealne wzrosły niemal dwudziestokrotnie — dzięki zapisom i daram szeregu mecenasów prywatnych. Napływ zbiorów był jednak nieproporcjonalny do dochodów, które ma-

ujemnie na interesach tej ważnej placówki kulturalnej. W tym okresie Instytucja przekształcała się z biblioteki o charakterze ogólnonarodowym, gromadzącej zbiory z całej Polski, w bibliotekę specjalistyczną, ze szczególnym uwzględnieniem rękopisów, archiwaliów i czasopism. Utrzymanie natomiast charakteru ogólnohumanistycznego, odpowiedniego pionu wydawniczego i uzupełnianie zbiorów szło opornie, z uwagi na skromny budżet. Rzecz znamienna: od

Jan RADZYN

PRZYWRÓCONY POLSCE

Nasza kultura narodowa zarówno w dziedzinie literatury, jak sztuki i nauki nie jest wyłącznie dziełem tych, którzy mogli powieścić o sobie, że są z krwi i kości, z ojca i dziada Polakami. Obok bowiem rdzennych Polaków współtworzyli tę kulturę wiele wybitnych jednostek, przybranych niejako do klejnotu polskości, synów ojczyzny z własnego ich wyboru, nie z przymusu, z czystego i głębokiego miłowania, często wbrew różnemu interesowi i karlerze.

Licznie zwłaszcza zasilił szeregi naszych pracowników na polu kultury gente Germani, Lelewel, Linde, Bandtkie, Kolberg, Libelt, Kremer, Helcel i inni — nie byłoby końca, gdyby chcieć wymieniać wszystkich, mających prawo do pamięci i czci całych pokoleń. Było w poroźblorowej Polsce coś, co promieniować musiało niespotykane, nie pociągającym pląknem, skoro doświadczona ciężko przez Opatrzność Ojczyzna rozszerzała stan idealnego posiadania dzięki takim adaptacjom — więcej, skoro odzyskiwała dusze rodzonych synów, zda się, na zawsze utracone na rzecz obczyzny.

Zjawiskiem takim był powrót do gniazda, zgermanizowanego już w kolebce syna polskich Prus, Wojciecha Kętrzyńskiego, znakomitego historyka.

DZIADEK i babka Wojciecha Kętrzyńskiego byli Polakami i katolikami i w domu ich panowała szczerza staropolskość w mowie i w obyczaju, lecz ojciec historyka, Józef, złutrzył się i w czasie służby wojskowej w pruskich huzarach pozwolił zniemczyć swoje nazwisko z „Kętrzyński” na „von

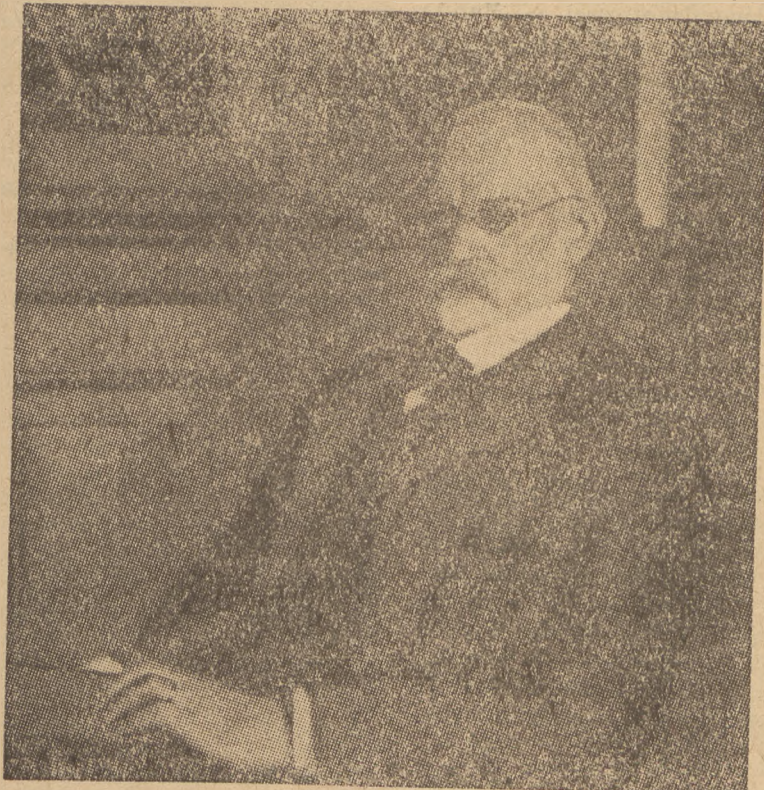
Winkler”, co nie przeszkadzało jednak, że gdy ożenił się z „obcą”, Eleonorą z Rabow, bronił w życiu domowym tradycji narodowych i „planował dać dzieciom systematyczny kurs języka polskiego”.

Znakomity później uczony i na schyłku życia zastąpiony dyrektorem lwowskiego „Ossolineum”, Wojciech Kętrzyński, urodził się w ma-

Ich bin ein Preusse,
kennt ihr mein Farben.
(Jestem prusakiem
znacie mój sztandar).

Cienie przedwczesnie zgasłego oica strzegły tej ledwo tlejącej w synu ostatniej iskry świadomości plemiennej...

Minie jeszcze parę lat i wybuch



łym miasteczku we wschodnich Prusach Lecu, 11 lipca 1838 r. O sierocy przez ojca jako ośmioletni chłopiec, umieszczony został przez matkę w domu dla sierot po wojskowych w Poczdamie, gdzie z dała od gruntu ojczyzno, szybko stosunkowo się sprusaczył. Nie zdołał wszelako nigdy wykrztusić słów junkierskiego wyznania wia-

nie ona w młodzieńskim „von Winklerze” z nieodpartą potęgą.

Przyjechał spod Berlina do domu i wystawiony został na współzawodniczące ze sobą wzajem wpływy kolegów szkolnych: agresywnych w butnej niemieckości Niemców i walczących o swą polskości Polaków. W ciągu półtora niespełna roku ukończył program gimnazjum w Głizycku, później gim-

nazjum w Rastemborku (Kętrzyńskie) i w 1859 zrobił maturę. W tym okresie rozmarzony szubak o blond włosach i niebieskich oczach, parający się tłumaczeniem Anakreota i bawiący się układaniem niemieckich rymów, otrzymał od siostry, szesnastoletniego podłotka, list, z którego dowiadywał się, że miała ona niedawno w ręku papiery po ojcu. Papiery te mówiły o jego polskości i stał o bezspornej polskości obojga rodzeństwa. Spod lichej maski niemieckiego nazwiska z niemiecką partykułą szlachecką, odsłoniło się właściwe, polskie.

Zatem Kętrzyńscy, nie żądni „von Winkler”.

List siostry wstrząsnął młodym Kętrzyńskim.

„Odtąd ja i siostra moja byliśmy Polakami!” — napisze po latach w pamiętniku, który początkowo opatrzył tytułem „Jak zostałem Polakiem” i do którego po wielokroć i chętnie słał znowu i poprawiał lub odrzucał gotowe strony — dopiero gdzieś koło roku 1908 uporał się z ostateczną redakcją bezcennego dokumentu.

„Kupiłem sobie natychmiast — ciągnie redziwy wspominkarz — jakąś popularną historię Polski oraz gramatykę polską, a porzucając język hebrajski — pierwszą Księgę Mojżesza i pierwszy psalm przeczytałem już w oryginale — zacząłem na gwałt uczyć się po polsku, albowiem cały zapas słów, pozostałych w mojej pamięci, był bardzo mały, gdyż składał się z kilkudziesięciu zwrotów i wyrazów i z liczb do dwudziestu”.

Posłuchajmy dalej o przebiegu tej walki:

(Dokończenie na str. 9)

Zbigniew MARCZAK

W KRĘGU PROBLEMATYKI RODZINNEJ

Drogi i rozdroża współczesnej rodziny

PSAC o aktualnych problemach rodziny nie jest łatwo, jeśli weźmiemy pod uwagę, że w tej dziedzinie każdy z nas posiada mniej lub więcej bogaty zasób doświadczenia (swojego lub obcego), oraz zbudowany na tym gruncie określony, trwały pogląd. Tam, gdzie czytelnicy uważają się za w pełni kompetentnych, łatwo autorowi narazić się na niezrozumienie, zdecydowany sprzeciw lub po prostu twardą ocenę: „banalny”. W dodatku wielu ludzi dotąd błędnie uważa małżeństwo za sprawę przeżyć wyłącznie osobistych, względnie sprowadza je do sfery wyłącznie seksualnej; beznamiętne rozważania na ten temat nie odpowiadają ich gustom, niekiedy nawet pobudzają do kpin. Przyczyniła się do tego między innymi zła sława różnych pseudonaukowych publikacji, wulgaryzujących problem pod płaszczykiem psychologizowania, socjologizowania itp.

W pełni sobie zdając sprawę z rozległości i skomplikowania zagadnienia, z trudnych do racjonalnego zanalizowania powikłań emocjonalnych, nie mam zresztą ambicji wyczerpania tematu, chodzi mi tylko o rzucenie w dyskusję garści uwag o sprawach, których wielkiej wagi na codzień dotąd — jak sądzę — jeszcze ciągle — nie doceniamy należycie.

Poruszę tu mianowicie zagadnienie właściwej postawy małżonków do siebie nawzajem i do instytucji rodziny. Wydaje mi się ono dziś specjalnie ważne w związku z zachodzącymi przeobrażeniami społeczno-gospodarczymi. Co przez to rozumiem, dalej wyjaśnię

X

INTERESUJĄCE byłoby zorganizowanie na szeroką skalę ankiety dotyczącej życia rodzinnego. Ale również nawet przygodna obserwacja dostarczyć nam może szeregu drastycznych przykładów kryzysu wewnętrznego wielu rodzin.

Nie konieczne muszą to być otwarte konflikty. Nieraz kryzys uwidoczni się dopiero po długich latach, gdy z rodziny wchodzi do życia społecznej jednostka o wykrzywionym charakterze, pełna urazów i niezdrowej ambicji — widoczny skutek złej atmosfery wychowawczej domu rodzinnego. Często wystarczy jednak krótki pobyt w danej rodzinie, aby stwierdzić, że jest z nią źle: nuda, sztywność, lenistwo, zaniechanie — świadczą o braku więzi skupiającej jej członków wokół wspólnych dążeń, które nadają życiu rodzinnemu twórczy sens i zdecydowaną barwę. Porzucenie rodziny przez któregoś z małżonków jest najczęściej końcowym, jaskrawym efektem procesu nurtującego w tej rodzinie od wielu lat; ukryte jego załaski z reguły istniały już w chwili zawarcia małżeństwa. Tam gdzie od początku nie cechuje poczucie głębokiej odpowiedzialności za los wszystkich członków rodziny, gdzie rodzina nie dość dba o to, aby owe poczucie stale pogłębiać i utwierdzać — łatwo o rozbięcie więzi rodzinnej. Podobnie rażącym przejawem złej atmosfery życia rodzinnego jest postawa aspołeczna. Zamykanie się wyłącznie w kręgu własnych przeżyć i interesów, brak współczucia oraz zainteresowania

dla tego, czym żyją inni ludzie, przede wszystkim zaś chciwe, drapieżne zgarbianie wszystkiego co innym uda się wydrzeć — oto jaskrawe jej przejawy.

Wymieniając powyżej różne „przykłady złej atmosfery życia rodzinnego, bynajmniej nie twierzę, jakoby były one charakterystyczne tylko dla czasów współczesnych. W Niemniej drastycznej postaci istniały one również dawniej. Ale specyficzny dla czasów minionych charakter rodziny jako wspólnoty gospodarczej oraz dyktatorska władza ojca powodowały, że powyższe przejawy skrytycznie chowano w ukryciu. Dziś rodzina przestaje być organizacją służącą do gromadzenia i przechowywania dóbr, jedynowładztwo ojca upada (ustępując miejsca zasadniczemu równouprawnieniu wszystkich członków rodziny) — przeto choroby trawiące oddawna instytucję rodziny mogą wyjść na światło dzienne w całej swej nie milej okazałości.

X

JAKIE motywy najczęściej, skłaniają dziś ludzi do małżeństwa? Ze nie tylko popęd seksualny — na to chyba wszyscy się zgodzimy. Gra tu przecież znaczną rolę szereg innych pobudek, wywierających ogromny wpływ na przyszły układ stosunków w rodzinie, decydujących nieraz o jej szczęśliwym rozwoju lub nieszczęśliwym rozkładzie.

Wielokrotnie o zawarciu małżeństwa decyduje tzw. *owczy pęd*. Przyjęty powszechnie zwyczaj nakazuje w określonym wieku pomyśleć o małżeństwie,

„nie wypada” już nadal żyć samotnie, wszyscy się żenią więc... i następuje wybór nie zawsze dość przemyślany, nie ugruntowany na dostatecznie głębokim uczuciu oraz zrozumieniu osobowości współmałżonka.

Inną często pobudką zawarcia małżeństwa jest dążenie do stabilizacji życiowej, wygody, znalezienia w drugiej osobie oparcia i pomocy. Pobudka w zasadzie słuszna (rodzina jest przecież związkiem ludzi wzajemnie sobie pomagających), ale nie może być jedyną. Świadczyłyby to bowiem wówczas o egoizmie, o chęci wykorzystania drugiej osoby dla swej korzyści, bez dostatecznego liczenia się z jej własną osobowością.

NAJISTOTNIEJSZYM motywem małżeństwa jest niewątpliwie *miłość*. Nie wchodząc głębiej w skomplikowaną problematykę tego zjawiska, pragnę ograniczyć się tylko do stwierdzenia, że również w miłości wielką rolę grają wzory (ideale) panujące w danej epoce i w danym środowisku społecznym. Np. po romantyzmie odziedziczyliśmy sentymentalizm. Choć okres potęgi sentymentalizmu dawno już minął, mimo to sentymentalistów jeszcze sporo możemy dziś spotkać, zwłaszcza wśród inteligencji. Świat współczesny: realny, twardy, zajęty budowaniem konkretnego — nie jest tolerancyjny dla ich przewrażliwionych uczuć; częste rozczarowania prowadzą do poważnych kompleksów psychicznych i chowania głowy w piasek.

Sentymentalizm w umiarkowanej ilości bezsprzecznie jest dla człowieka pożyteczny (szczególnie w życiu rodzinnym), gdyż wysubtelnia uczucia i kształci smak estetyczny. Ale sentymentalizm — w swej postaci estetyzującej względnie erotyzującej — staje się wręcz szkodliwy, gdy stanowi podstawowy element ustosunkowania do drugiego człowieka, zwłaszcza współmałżonka. Wtedy bowiem poza zasłoną pozorowanej życzliwości dla wszystkiego i wszystkich, kryje się egoцентризм, całkowite pochłonięcie przez własne doraźne przeżycia estetyczne, bezwolne uleganie chwilowym nastrojom, ustawiczna pogoń za złudzeniami, nigdy nie nasycona potrzeba wciąż nowych wrażeń. Sentyment, wzajemne upodobanie — to za mało w małżeństwie, aby zapewnić mu trwałość, nadać głębszy sens.

Sentymentalizm to nieodrodne dziecko kultury indywidualistycznej, która szczyt swej potęgi osiągnęła w dobie kapitalizmu. Dziś, w zmienionych warunkach ustrojowych, stopniowo uwalniamy się spod jej aspołecznych wpływów, pokonując nieraz znaczne opory. Najcharakterystyczniejszym przeżyciem owej kultury dotąd jeszcze niestety żywym wśród nas jest kult kaprysu.

W rodzinie kult kaprysu przejawia się jako postępowanie jednostek, kierowane wyłącznie ich doraźnymi zachciankami, zupełnie nie liczące się z dobrem innych ludzi oraz powagą instytucji rodziny. Ludzie wynajdujący kult kaprysu tak samo lekkością zawierają związki małżeńskie, jak i je zrywają, są nieodpowiedzialnymi, swoim egoistycznym postępowaniem wyządzają krzywdę innym.

X

DAWNIEJ pragnienia i dążenia większości rodzin koncentrowały się wokół umacniania materialnych podstaw ich bytu; pod tym kątem widzenia zawierano małżeństwa i wychowywano dzieci. Szczęście rodzinne uzależniano przede wszystkim od dobrobytu, wyrażającego się w posiadaniu dobrze urządzonego mieszkania, własnego domu itp.

Obecnie instytucja rodziny przestaje służyć za narzędzie walki o byt. W warunkach planowo kierowanego życia zbiorowego coraz mniej miejsca pozostaje dla egoistycznej walki konkuren-

cyjnej i zagarnięcia dla siebie jak najwięcej. Rodzina współczesna nabiera zupełnie nowego sensu; zgoła inne niż niegdyś są warunki jej szczęścia i powodzenia.

Zasadniczy ciężar nowej rodziny coraz konsekwentniej przesuwa się na płaszczyznę wychowawczą, z partycularza własnego domostwa na teren życia społecznego. Szczęście i powodzenie rodziny zależy już dziś nie tyle od posiadanego przez nią dobrobytu, ile od wykazywania przez małżonków właściwej postawy, chęci pracy wychowawczej nad dziećmi i sobą samym, umiejętności wytworzenia pogodnej, miłej, prawdziwie kulturalnej i uspołecznionej atmosfery.

W dobie obecnych przeobrażeń, bardzo istotne jest zdanie sobie sprawy z konieczności przyjęcia właściwej postawy dotyczącej problematyki rodzinnej, postawy wychowawczej, twórczej, odpowiedzialnej i uspołecznionej. *Ideal życia rodzinnego winien stać się znowu atrakcyjny, ale musi on występować w nowym ujęciu, odpowiadającym nowej rzeczywistości.*

X

P OWSZECHNIE nie docenia się jeszcze w naszych rodzinach, jak dalece można przeobrazić charakter człowieka przez odpowiednie oddziaływanie wychowawcze. A przecież kto jak kto, ale właśnie środowisko rodzinne ma szczególnie mocny wpływ na kształtowanie się osobowości.

Nie wolno wmawiać w siebie i innych, że takim się już jest i nic na to poradzić już nie można. Przeciwnie w dziedzinie kształtowania charakteru da się działać bardzo wiele, ale pod warunkiem stosowania właściwych metod. Nie słowo, nie przymus, lecz wytworzenie odpowiedniej atmosfery życia rodzinnego jest podstawowym środkiem wychowania. Wychowanie rodzinne tylko wtedy ma szansę pełnego powodzenia, gdy służy określonym celowi, gdy jest ściśle powiązane z postawą twórczą. Za najważniejszy cel uważa się zazwyczaj wyprowadzenie dzieci na wartościowych ludzi. Ale istnieje poza tym również szereg innych możliwości przejawiania postawy twórczej; sama chęć małżonków do wzajemnego wychowywania się już taką postawę w góry zakłada. Tam gdzie w małżeństwie istnieje więź wzajemnego zrozumienia, wspólnych zainteresowań i dążeń — powstaje dogodne pole do twórczości.

Chcąc lub nie chcąc, bierzemy na siebie pewną dozę odpowiedzialności za los naszych znajomych, a tym bardziej przyjaciół. Cóż dopiero w rodzinie! Tu podejmujemy odpowiedzialność nie tylko za przyszłość naszych dzieci, ale także za współmałżonka, za naszą rodzinę jako podstawową komórkę życia zbiorowego. Branie na siebie tak dużego ciężaru wymaga pełnej dojrzałości moralnej. Małżeństwo nie może być krokiem nieprzemysłanym, podjętym pod wpływem doraźnych wrażeń — sami wtedy bowiem nie będziemy szczęśliwi i innym będzie z nami źle.

Spółczesność współczesna przeżywa swój przełomowy okres; w trudzie zachodzących przeobrażeń wykluwają się nowe problemy, nowe zagadki. Dzień dzisiejszy wymaga od człowieka umiejętności trzeźwej oceny tego, co się dzieje, mocnego charakteru, głębokiego, z serca płynącego uspołecznienia. Aby właśnie takich ludzi wychować, rodzina musi żyć tym, czym żyje świat obecny, starać się zgłębić jego skomplikowaną problematykę, wyrobić u swych członków realistyczne, a jednocześnie pełne wiary i czułości na dół bliźnich spojrzenie na życie. Przykład rodziców, ich poglądy życiowe oraz codzienne ustosunkowanie wobec innych ludzi, pozostawia w tym zakresie niezatarte ślady w osobowości dziecka.

Zbigniew Marczał

WOYTOWICZ, IACOVINO, ESTRELLA

RECITAL FORTEPIANOWY
BOLESŁAWA WOYTOWICZA

RECITAL obejmował w pierwszej części sonatę Mozarta B-dur Nr 8 oraz Beethovena sonatę Es-dur op. 31, Nr 3.

Układ programu wymagał rozpoczęcia recitalu właśnie od Mozarta — tego, moim zdaniem, najtrudniejszego kompozytora. Styl Mozarta z jego lekkością, śpiewnością, umiarem a jednocześnie wielką siłą ekspresji wymaga specyficznego podejścia od strony uderzenia i pedalizacji. — Wiemy doskonale, jak zazwyczaj ciężkim jest pierwszy kontakt z instrumentem przy pełnej sali i nie zawsze sprzyjających warunkach akustycznych.

Sprawa nadania z miejsca odpowiedniego tonu, odpowiedniej barwy wymaga kolosalnego napięcia.

Tym się może tłumaczy fakt, że pierwsza część sonaty wypadła stosunkowo najslabiej, brak było w niej karności technicznej oraz odpowiedniej barwy dźwiękowej. — Natomiast doskonale wypadła część druga, w której wykonawca osiągnął maksimum śpiewności w kantylenie bez użycia pedału (co należy szczególnie podkreślić).

Sonata Beethovena zagrana była zupełnie innym tonem — pogłębionym o dużej wyrazistości — sozystym, takim tonem, jaki właśnie odpowiada Beethovenowi w okresie przełamania się stylowego.

Druga część recitalu obejmowała 24 preludia Chopina, Skriabinia, Rachmaninowa i Debussy'ego.

Miniatury fortepianowe są zawsze trudne w interpretacji, zwłaszcza przy ich grupowym zestawieniu, wymagają bowiem od wykonawcy wydobycia całej palety nastrojów, barwy i odmienności w traktowaniu faktury. — Z sześciu preludium Chopina wymienię preludium f-moll, w

którym należałoby w pewnym momencie zastosować pewne umiarkowane rubato, które umożliwiłyby osiągnięcie większego nasilenia wyrazu. W ostatnim preludium d-moll brak było stopniowego narastania napięcia na skutek czego zatraciło ono swój charakter.

Ostatnie sześć preludium Debussy'ego to jeden z najciekawszych momentów recitalu.

Woytowicz znany jest jako wybitny specjalista w odtwarzaniu muzyki impresjonistycznej. — Muzyka tego rodzaju wymaga szczególnie dokładnej i przemyślanej pedalizacji, szczególnie wypracowanego uderzenia i szczególnego wyczulenia na pierwiastek harmoniczny (akordowy). Każde z wyżej wymienionych preludium było dosłownie „malowane barwami”, każde z preludium wywalało w słuchacza wyobrażenia wizualne, pełne czystych barw i niestającego ruchu.

Na szczególną podkreślenie zasługują dwa preludia a mianowicie „Minstrel” i „Feux d'artifice” (Sztuczne ognie).

Reasumując — recital pod każdym względem ciekawy i pouczający. Pouczający dla tych wszystkich, u których technika jest przebieżem wartości pianisty. Prelekcję do koncertu wygłosił mgr Spodenkiewicz, nakreślając w sposób ciekawy i prosty charakter formy sonatowej oraz istotę preludium z bogactwem ich zawartości treściowej.

KONCERT ARTYSTÓW BRAZYLIJSKICH

WUBIEGLYM tygodniu gościła stolica wybitnych solistów brazylijskich Marrucio Jacovino i Arnaldo Estrella.

Na koncert w sali Muzeum Narodowego złożyły się utwory Haendla, Francka, Prokofiewa oraz kompozytorów hiszpańskich i brazylijskich, które zostały wykonane co najmniej starannie.

Marrucio Jacovino, laureatka pierwszej nagrody Konserwatorium w Rio de Janeiro, posiada za sobą liczne koncerty w Parwzu, Londynie, Lozannie i Berlinie, gdzie występowała w ramach własnego recitalu skrzypcowego lub jako solistka koncertów smfonicznych, obecnie interesuje ją przede wszystkim muzyka kameralna.

Słuchając w wykonaniu p. Jacovino Sonaty F-dur Haendla i Sonaty A-dur Francka wyraźnie dostrzegamy, że artystka frapują elementy napięcia rytmiczno-ruchowego. Skrzypczka mimo swojej dużej rutyny traktuje cokolwiek powierzchownie przejawy elementów energetycznych w utworze. Kościelnego typu sonaty Haendlowskie o pięknych liniach architektonicznych wymagają w wykonaniu subtelnej podkreślenia tych linii, czego niestety nie dostrzegano się w mało wrażliwej, dość oschłej interpretacji Jacovino.

W II części koncertu wystąpił Arnaldo Estrella, również zdobywca I nagrody w Barrozo — obecnie prof. konserwatorium w Rio de Janeiro.

Pianista po licznych tournée koncertowych na obu kontynentach obecnie zaprezentował nam nie tylko swoją wysoką klasę brazylijskiego wirtuozosa, ale i ciekawe utwory swoich rodaków. „Alma Brasileira” i „Dança do Indio Branco” — najpopularniejszego brazylijskiego kompozytora Villa-Lobos w wykonaniu Estrelli miały dla nas pewien smaczek ezotyki. Interesująca była też C. Guernierlego „Tocata” oparta na rytmie tańców murzynów brazylijskich i „Cancão Serataneja” — pieśń wiesniaków utrzymana w charakterze lułowych piosenek. Utwory kompozytorów hiszpańskich Albeniza i Granadosa brzmiały dobrze, chociaż za mało wykazywały swoją odrębność. Natomiast 7 Sonata Prokofiewa wypadła dużo słabiej; bowiem mimo zaznaczonej przez pianistę kolorystyki ruchu i dużego dynamizmu razil chwilami automatyzm wykonania. Wrażenie to może mieć jednak m. in. swe źródło w fakcie, że nad tradycją muzyczną Europy zaciążył romantyzm, gdy cechą muzyki kontynentu amerykańskiego jest „nowa rzeczowość”.

Sobotni koncert zetknął nas nie tylko z artystami dużej klasy, lecz również ludźmi, którzy reprezentując postępową postawę w sztuce realizują ją również w życiu. Arnaldo Estrella jest bowiem wiceprzewodniczącym Brazylijskiego Komitetu Obróńców Pokoju.

H. S.

JAK PISAŁEM „LISTY NIKODEMA..”

(rozmowa z Janem Dobraczyńskim)

ZYCIE Chrystusa jest niewątpliwie najbardziej pasującym ale i najtrudniejszym tematem dla pisarza katolickiego. Można powiedzieć, że gdyby cała literatura chrześcijańska zawierała dzieła wyłącznie poświęcone postaci Chrystusa, nie byłaby bynajmniej ubogą tematycznie. Wprost przeciwnie, wszystkie bowiem problemy Boskie i ludzkie zawiera w sobie Zbawiciel.

Wartość artystyczną „Listów Nikodema”, najnowszej książki Jana Dobraczyńskiego oceni krytyka, a przede wszystkim ocenią czytelnicy. Niezależnie od tego, jak ów sąd wypadnie, możemy już dziś powiedzieć, że ukazanie się tej książki jest dużym wydarzeniem w naszym piśmiennictwie katolickim. Dlatego, chcąc udostępnić czytelnikom prześledzenie procesu powstania tej książki, zwracamy się do jej Autora z prośbą o kilka uwag na temat jej narodzin i powstawania.

— U podstaw każdego dzieła literackiego leży jego koncepcja tematyczna, dlatego pozwolę sobie zapytać Pana, jak powstał pomysł napisania „Listów Nikodema”?

— Uważam, że „Listy” w dużej mierze zawdzięczają swój byt wielu osobom, które modliły się o ich powstanie.

Każdy ma swego Chrystusa przeżywanego na swój sposób. Chrystus każdego człowieka jest prawdziwy. Ponieważ Zbawiciel zawiera w sobie wszystkie indywidualności. Pomysł „Listów Nikodema” jest bardzo stary. Badałże najdawniejszym moim pomysłem literackim było własne ujęcie „Vie de Jésus”.

Jestem trochę bibliścią. Z zamiłowania. Bez aspiracji naukowych. Jak pan widzi oto ta cała półka z książkami zawiera dzieła poświęcone bibliście.

Mysł napisania książki o Chrystusie przybrała po wojnie konkretny kształt. Zaczęło się od przypadku. „Słowo Powszechne” zamówiło u mnie artykuł do numeru Wielkanocnego. Napisałem go w formie listu Nikodema. Był on szeroko czytany i komentowany, otrzymałem olbrzymią ilość listów i zamówień. To zdominowało mnie do dalszej pracy nad cyklem listów nikodemowych, które powstawały od przypadku do przypadku, publikowane w czasopiśmie, przeważnie z okazji świąt liturgicznych.

Listy zamieszczane w czasopiśmie nie są listami, które zawiera książka. Tamte wiąże jedynie postać Chrystusa, w wydaniu książkowym pojawił się Nikodem jako bohater powieści.

Czas ostatecznego „montowania” książki przypada na okres zawarty między grudniem 1950 a grudniem 1951 roku.

— Każda powieść o charakterze biograficznym wymaga często dużych i znużających studiów nad czołwiskiem i epoką. Oczyniłem jest, że przedstawienie życia Chrystusa powołuje konieczność oparcia się na tym, co nam mówi Kościół i Ewangelia na odpowiednich pracach naukowych. Przy lekturze „Listów Nikodema” uderza troskliwość w przedstawieniu epoki i ludzi. Czy byłby Pan łaskaw powieścić mi, jakie źródła dostarczyły Panu materiału do „Listów”?

— Czytałem dość dużo nie ograniczając się do ogólnie znanych źródeł naukowych. Sięgałem również do źródeł żydowskich. Dużo materiałów dostarczyło mi np. dzieło Herforta „Faryzeusze” jak również powieść Szlomy Asza „The Nazareen”. Oczywiście, korzystałem również z pism Ojców Kościoła, prac Flawiusza i innych. Muszę na marginesie zaznaczyć, że chociaż książka jest powieścią, i nie mam ambicji traktowania jej jako studium naukowego, nie szczędziłem trudu nad geograficznym umiejscowieniem akcji, śledząc

przez wiele godzin nad mapami Ziemi Świętej.

Jako pisarz, niezwiązany ze studiami naukowymi, opierałem się również na takich źródłach, jak np. widzenie Męki Chrystusa Katarzyny Emmerich.

Pasjonowały mnie również prace Hynka i Barbety nad Świętym Ciałem.

— Dlaczego nadał Pan swojej książce formę listów?

— Postać Chrystusa jest sumą indywidualności ludzkich. Dlatego rysy Chrystusa trudno jest ująć bezpośrednio. Opowiadanie o Chrystusie przez trzecią osobę jest czymś doświadczeniem, zwalnia autora od obiektywizacji, która w danym wypadku jest właściwie niemożliwa. Przyjęcie innej formy niż listów zmusiłoby mnie do poświęcenia więcej uwagi postaci Nikodema, co mogłoby zaciemnić wizerunek Chrystusa.

— Jaki był stosunek Pana do apokryfów w trakcie pisania powieści?

— Rozróżniamy trzy typy apokryfów Pierwszy — to utwory zawierające wiele prawdopodobieństwa, ale nie związane do kanonu kościelnego, dalej utwory literackie i powieści a wreszcie apokryfy szkodliwe, heretyckie, tworzone dla przeprowadzenia błędnych tez. Mnie in-

teresowały oczywiście tylko dwa pierwsze rodzaje apokryfów z tym zastrzeżeniem, że zgodnie ze stanowiskiem Kościoła, nie przypisywałem im większego znaczenia. Przeciwnie, odcinałem się od tradycji, o których wiedziałem, że wyrosły z apokryfów. Zależało mi na tym, żeby obyć się bez zbędnych rekwizytów. Listy Nikodema są przecież same apokryfem. Budowanie apokryfu na apokryfie jest niecelowe, pomnaża fikcję.

— Ciekawymi wydają mi się uwagi autora nad językiem swojej książki. Czy byłby Pan łaskaw powieścić parę słów na ten temat?

— Jak pan zauważył, unikałem zbędnej archaizacji języka, chodziło mi o zerwanie ze „sztaampą” językową. Na polskie przekłady Ewangelii wywarł duży wpływ piękny, ale niezrozumiały już dziś język ks. Wujka. Próbą unowocześnienia języka Ewangelii jest ostatni przekład ks. Dąbrowskiego, ale dla powieści i to jest za mało. To co dla przekładu kościelnego jest niedopuszczalne, wydaje się konieczne dla powieści. Mówienie o życiu Chrystusa językiem nowoczesnym, ucieczka od archaizacji, pozwalała na lepsze zrozumienie i aktualizację pojęć ewangelicznych.

— Emocjonalny stosunek twórcy do dzieła, zjawisko zrozumiałe i powszechne, powoduje, że autor przekładu zazwyczaj szczególną wagę do

jakiegoś fragmentu swej powieści. Czy można wiedzieć, który z Listów wyróżniłby Pan?

— Największe znaczenie ma dla mnie opis Męki Chrystusa (List XXII), lecz muszę podkreślić, że „Listy Nikodema” przestały już być oddzielnymi utworami, są powieścią którą mogę traktować tylko w całości.

— Problem świętości jest problemem często pojawiającym się w twórczości Pana. Jest moim zdaniem moim nadającym m. in. tej twórczości specjalny charakter i znaczenie. W „Listach Nikodema” to zagadnienie jest również bardzo żywe.

— Tak, problem świętości pasjonuje mnie najbardziej, chodzi mi jednak o jej odmienny rys. Świętość rozumiana jest powszechnie jako droga człowieka niewierzącego do Boga. Mnie interesuje problem człowieka wierzącego, który dochodzi do przekonania, że nie jest w tej wierze konsekwentny, to co nazwałbym odkryciem „katolicyzmu w katolicyzmie”. W świętych widzimy zazwyczaj ludzi o wspaniałym charakterze Owszem o takich świętych też pisałem (Jeremiasz, św. Paweł). Świętość jest jednak możliwa w każdym typie ludzkim, a więc u ludzi małych, słabych i przeciętnych. Nikodem nie jest ani na chwilę człowiekiem niewierzącym. To jest jed-

nak człowiek mały, tchórzliwy, chwiejny.

— Jak zauważyłem, z dwóch natur Chrystusa przedstawia nam Pan wyraziście, zgodnie zresztą z realistycznymi założeniami powieści, Chrystusowe Człowieczeństwo.

— Chrystus był pełnym Bogiem i pełnym Człowiekiem. W chrześcijaństwie są epoki, w których zaznacza się zwrot do jednej z tych natur Zbawiciela. Np. w drugiej połowie XIX w., w okresie pozornego zachwiania podstaw nauki chrześcijańskiej przez racjonalizm i nauki ścisłe, spojrzęmy odcienie od Chrystusa-Człowieka, do Chrystusa-Boga. Zając się przede wszystkim ukazaniem Boskości Jezusa. Obecnie podstawy nauki katolickiej są tak mocne, że nie jest dla katolika rzeczą tak istotną udowadnianie oczywistej Boskości Zbawiciela. Dlatego szukamy bliskości Chrystusa, odwołujemy się do Jego Człowieczeństwa, potrzebujemy bardziej miłosierdzia Boskiego, niż Jego wspaniałości.

— Jak przedstawiają się obecne Pańskie zamierzenia twórcze?

— W tej chwili zacząłem szkicować powieść współczesną. Ale w zasadzie przygotowuję się do dużej powieści z życia Podhala z połowy ubiegłego stulecia. Centralną postacią powieści będzie książk Wojciech Blaszyński, proboszcz Sidziny pod Babią Górą.

No; ale to rzecz przyszłości...

Rozmowę przeprowadził Józef Szczawiński.

Ossolineum — wczoraj i dziś

(Dokończenie ze str. 5)

Dział rękopisów wykazuje ożywioną działalność. Już w r. 1948 otwarto czytelną rękopisów, a „Wystawa autografów polskich autorów” w sposób prawdziwie wzruszający zbliżyła miłośników literatury do warsztatu pracy Słowackiego i Mickiewicza, Prusa, Sienkiewicza czy Żeromskiego... Rękopisy Ossolineum stanowią w tej chwili największy w Polsce zbiór tego rodzaju — liczący przeszło 11000 pierwszorzędnych pozycji. Nabytki z roku 1951 przedstawiają się wprost imponująco — tak ilościowo jak i jakościowo: 138 rękopisów, ponad 3000 listów i autografów, 21 dyplomów, 300 aktów — wśród tych skarbów warto zanotować „Próbkę szpargałów” — wiersze Karola Szańnochy, rękopis powieści Kraszewskiego „Rodzeństwo”, Żeromskiego referat „Literatura a życie”, luźne karty, uzupełniające posiadane już autografy Sienkiewicza, korespondencję Niemcewicza, Kościuszki, Odyńca, Szujskiego, Sewera Maciejowskiego, Zapolskiej — z rzeczy starych pięknie oprawy antyfonar z końca XIV w., dokumenty szeregu królów polskich i wiele innych.

Udostępnieniu zbiorów służą 2 wydane tomy Inwentarza rękopisów — tom trzeci jest w przygotowaniu; opracowuje się indeks, wydano katalog dyplomów średniowiecznych. Informacji z zakresu badań i prac edytorskich udziela biuletyn „Ze skarbca kultury”. „Zarzucono nam — mówi dyr. Kiernicki — że to nazwa zbyt pretensjonalna. Ale czyż to, co posiada Ossolineum, nie zasługuje na nazwę skarbcza, z którego czerpiemy?”

MLODY narybek Ossolineum odbył specjalny kurs edytorski (grupa polonistów pod kierunkiem prof. Mikulskiego, grupa historyków pod kierunkiem prof. K. Czaplńskiego) i przystąpił do nowej dla siebie, interesującej pracy: grupa polonistyczna opracowuje korespondencję I. Krasickiego, której tom I pójdzie z końcem marca do druku — korespondencję Naruszewicza — i monografię drukarni warszawskich wieku XVIII. Historycy pracują nad reedycją pamiętnika Jerzego Ossolińskiego

— i zbierają materiały do społeczno-gospodarczej historii wsi, na podstawie suplik chłopskich oraz rejestru poborowego wojew. krakowskiego z drugiej połowy XVIII wieku.

Pracownicy działu starodruków z mgr Zathem na czele oddali do użytku czytelną starodruków, czynną przez cały dzień. Porównawszy księgozbiór Ossoliński z księgozbiorem Branickich, z Sucheja — wydzielili 2000 dubletów polonistów, które posłużą do wymiany międzybibliotecznej. Katalogują obecnie starodruki z XVIII w., a w ramach pracy zespołowej, w porozumieniu z pokrewnym działem Biblioteki Uniwersyteckiej — sporządzają katalog polonistów XVI w. Katalog inkunabułów, opracowany przed wojną przez K. Piękarskiego, przygotowuje do druku A. Gryczowa.

Ossolineum opiekuje się nie tylko własnymi zbiorami starych druków — przybyły mu kolekcje bibliotek dworskich, m. in. Pawlikowskich, Baworowskich, Cieńskich, Lubomirskich, Branickich, a nadto bardzo cenny zbiór śp. Arcybiskupa Teodorowicza, zawierający obok pozycji filozoficznych i teologicznych — ciekawe arameica. Kto raz choćby obejrzy stare foliały, bogate oprawy ze skóry, ze złoceniami o pięknej ornamentyce, wspaniałe iluminowane inkunabuły, o inicjałach, mimo wieku nie tracących świeżości kolorytu i subtelności rysunku — ten nie oprze się wrażeniu podziwu. A są to rzeczy pierwszorzędnej wartości, nie rzadko białe kruki — jak „Constitutions et syntagmata Incliti Regni Poloniae” (1491), zawierające statut wiślicki, jak Boska Komedia (1481) wydana we Florencji, jak Statut Łaskiego z pierwodrukiem Bogurodzicy (1506) — a dalej pierwsze edycje Reya, Kochanowskiego, Sarbiewskiego, Kopernika, słynna Biblia Radziwiłłowska, zbiorowe wydanie dzieł Kochanowskiego z r. 1585, którego bliźniaczy egzemplarz znajduje się

w British Museum i tyle, tyle innych.

Należy uznać za prawdziwe szczęście, że zubożała przez wojnę kultura polska mogła oddać te swoje klejnoty w ręce fachowe, pieczołowite i pełne dobrej woli. Mało kto pamięta o tym, że Ossolineum posiada ciekawe zbiory grafiki artystycznej i dokumentacyjnej, największy w Polsce zbiór ekslibrisów, a dalej kolekcję polskich rysunków, m. in. Norblina, Orłowskiego, Norwida, Rustema, Michałowskiego, Matejki, Kosaków, J. Malczewskiego i w. in., (ważny dla teatrologów) zbiór fotografii teatralnych w XIX i XX — oraz bogaty księgozbiór teatrologiczny.

Tytułem do chwały są wspaniałe kolekcje grafiki obcej, wśród których wyróżniają się portrety angielskie wykonane mezzotintą, ilustracje do Szekspira, arcydzieła grafiki francuskiej, niderlandzkiej, włoskiej, niemieckiej — oraz grafiki rodzimej — z której zasługują na wzmiankę chociażby akwaforty Pankiewicza, litografie Wyczółkowskiego, drzeworyty Skoczylasa i członków warszawskiego „Rytu” Gabinet grafiki kierowany przez Tadeusza Solskiego nawiązał kontakt z żyjącymi artystami i posiada wiele ich prac.*

W PRZYGOTOWANIU są dwie wystawy: pierwsza — problemowa, z okazji Święta Pracy; druga — w stulecie urodzin C. Wyczółkowskiego. Prace katalogowe są w toku. Zarówno zbiory — jak i intensywna praca Działu Grafiki zasługują na szersze zainteresowanie ze strony organów prasowych, zajmujących się kulturą, a szczególnie plastyką polską.

Wydawnictwo Z. N. i O. — nie mające przed wojną sprzyjającego profilu wydawniczego — zyskało obecnie właściwe warunki rozwojowe i uwzględniła w planie edytorskim na pierwszym miejscu dzieła monograficzne z zakresu nauki o literaturze, historii politycznej i gospodarczej,

historii kultury i sztuki, prace bibliograficzne, zbiory listów i dokumentów, pamiętniki, a wreszcie teksty literackie, pisma wybrane oraz wydania zbiorowe.

Piękna edycja fascimile rękopisu „Pana Tadeusza”, zbiorowa praca „Pozytywizm”, „Tekka Stańczyka” Wyki, „Historia sztuki” Lavedana, „Źródła do dziejów teatru w Polsce”, Pisma H. Grymwasera — to przykłady znanych wydawnictw Ossolineum.

Pełne wydanie dzieł J. Słowackiego — oraz przygotowane wydanie naukowe dzieł tego poety pod redakcją profesora J. Kleinera — to pierwsze wydanie zbiorowe — ale plan obejmuje ponadto dzieła Kochanowskiego, Krasickiego, Brodzińskiego i w. in.

Plan wydawniczy na rok bieżący obejmuje, według informacji dyr. J. Pelca — około stu pozycji — m. in. opracowania I.B.L.-u: „Szkiecy o Ideologii Polskiego Oświecenia” Celiny Bobińskiej, „Szkiecy z marksistowskiej teorii literatury”, w ramach I.B.L.-owskiego wydawnictwa tekstów staropolskich pod red. M. R. Mayenowej przewidywane wydanie „Poetyki” Sarbiewskiego, „Krótką rozprawę między panem wójtem a plebanem” Reya i inne. Trudno wymienić więcej pozycji wydawniczych Ossolineum, które współpracuje z I.B.L. i z Państwowym Instytutem Sztuki, w ramach Biblioteki Narodowej, Rocznik Z. N. i O., Pamiętnik Literacki, Zeszyty Wrocławskie, które urzędzą wystawy stałe i objazdowe — i pracuje, pracuje, pracuje.

Wystarczy stwierdzić, że nikt nie ośmielał się przecząć, do jakiego poziomu działalności dojdzie i jakiej roli sprosta Ossolineum. A przecież to jeszcze nie koniec drogi — bo Ossolineum ma związać się z Akademią Nauk.

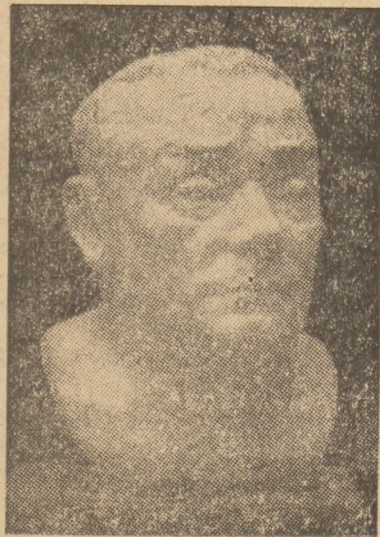
Józef Maksymilian Ossoliński, który położył podwaliny pod tę budowę, powiedział: „Lexique monumentalum perennius”. Nie przeczył jednak, o ile to Monumentum przetrwa miażdżące pojęcie jego gasnącej epoki.

Janina Nuckowska

Stefan MARTHA

REFLEKSJE POWYSTAWOWE

WCHWILI kiedy pióro te słowa II Gólnopolska Wystawa Plastyki jest już historyczną pozycją, odnotowaną w dziuryszu kultury, zjawiskiem zamkniętym dwiema datami: grudzień 1951 — luty 1952. Jeszcze właściwie wszystko jest na miejscu tylko obrazy stoją „twarz do ściany”, a rzeźby zamknięto w drewnianych domkach bez okien. No cóż, koniec, cień likwidacji. Płótna, rzeźby, rysunki, rozplwają się na Polce i nigdy nie zobaczymy ich razem.



J. Puget — Stefan Jaracz

Refleksje te nie są spóźnioną recenzją i mimo próby uchwycenia paru słów ogólnych wysuwania wniosków, stawiania zagadnień nie mają ambicji „podsumowań” czy najmniejszych choćby bilansów zamknięcia.

RZEŻBA

WSZYSTYCY na ogół zgadzają się, że rzeźba wypadła na Wystawie najpoważniej. Ta opinia była tak powszechna i podtrzymywana z taką podziwianą, że inąd pewnością, że stała się przyczyną drobnego sporu w rodzinie. Otóż pewien malarz doprowadzony do ostateczności tym wnoszeniem zasług kolegów oświadczył, że zrobienie realistycznej rzeźby jest łatwiejsze niż namalowanie realistycznego obrazu. Zdanie to wyglądało na górę nonsensu zawiera przecież ziarenko myśli. Myśl ta po przełożeniu na język nieartystyczny brzmiałaby tak: mówiąc o realizmie w plastyce należy

pamiętać o zagadnieniach i różnicach warsztatowych i nie odrywając się od zasadniczej tezy estetycznej powinno się precyzować co znaczy realizm plakatu, obrazu, rysunku czy rzeźby.

Zanotujemy najlepsze pozycje w tym dziale: J. Pugeta „Stefan Jaracz” i M. Wnuka „Lenin”. Do tej czołówki „generacji profesorskiej” dołącza się Anna Pietrowicz z doskonale swobodną i dojrzałą „Marią Konopnicką”. Nazwisko młodej rzeźbiarki chciałoby się dwa razy powtórzyć, gdyby nie fatalny przesąd i zalecana ostrożność z debiutantami. Warto jeszcze wymienić mocne pozycje Horno-Pocławskiego, Wieckówny i Duszeńki, Michałowskiego, Karnego i Smolany.

To, co pozwoliło zdobyć rzeźbiarom tak wysoką pozycję, wśród plastyków dałoby się określić jako trafne podjęcie tematyki człowieka wyrażonego od strony jego głębokich przeżyć wewnętrznych i nie jest przypadkiem, że najlepsze rzeźby poświęcone są wybitnym osobowościom sztuki i historii, powstałe w atmosferze ich kultury, w atmosferze wnikliwego odtworzenia osobowości modeli.

GRAFIKA

DZIAŁ ten wypadł raczej chaotycznie i ubogo tak że trudno wyrazić jakieś ogólne wrażenie. Dobór materiału przypadkowy, wielka rozpiętość poziomów tematów. Pod tym względem wystawa nie stanowiła wskaźnika możliwości czy przekroju osiągnięć. W wielkim gąszczu znaleźliśmy jeden niewątpliwie dojrzały owoc: cykl czestochowski Tadeusza Kulskiego.

OBRAZY

OBRAZÓW było oczywiście najwięcej — ponad 300 pozycji. Wisiały jedne nad drugimi, czasem trudno było do nich dotrzeć. Poza tymi „względami technicznymi” ekspedycja raczej dobra. Zgrupowanie obrazów pomyślane było na zasadzie pewnej hierarchii artystycznej. Najlepsze znajdowały się w sali z dużym płótnem grupy sopockiej, w dalszych salach tu i ówdzie rodzynki na szaro-brunatnym tle przeciętności. To co niepokoiło w tych przeciętnych obrazach można by nazwać zanikiem koloru. Zjawisko

na tyle poważne, aby poświęcić mu trochę uwagi.

Najbardziej lojalnie rozważając, ten problem, można by się było zastanowić czy malarze, którzy ograniczają swoją paletę nie czynią tego jako ofiary dla rzeczy ważniejszej i droższej. Dla czytelności — powiedzmy — dla ścisłego przedmiotowego rysunku, czy czegoś w tym rodzaju. Ale już powierzchowna analiza tych bezkolorowych brunatno-zielonych płócien wykazuje, że rysunek często jest wadliwy, a czytelność wskutek natłoczenia ciemnych walorów co najmniej wątpliwa. Więc ofiara (jeśli to jest ofiara) była zbyt duża. I czy można ofiarować to co jest przecież samym sercem malarstwa?

Trudność może leżeć gdzie indziej w rzeczy w pozór czysto zewnętrznej w wymiarach, albo jeśli wolimy w dążeniu do monumentalizowania malarstwa. Inaczej bowiem rozwiązuje się płótno takie, które oglądając oprócz można na kolanach, a inaczej takie 3,5x5 metrów. Nie można od poety piszącego powieść poetycką wymagać takiego napięcia i kondensacji walorów jak od autora liryki. Duże płótno ma coś z epiki, trudno go machnąć samym nachnieniem, trzeba nad nim pracować, przetrabiać, poświęcać szczegóły dla całości, gubić się i odnajdywać.



A. Pietrowicz — Maria Konopnicka

I zresztą wielki szkopuł wynikający z historycznych uwarunkowań. Mówi się często, że ta duża część ma-

larzy, która pozostała pod wpływem impresjonizmu nie jest przygotowana do rozwiązywania wielkich monumentalnych płócien. W tym po-

ła nieporadnie. Przykładem „Pogrzeb Dąbrowskiego” Zygmunta Łopuszyńskiego, gdzie artysta z dramatycznej sceny potrafił wycisnąć tylko pare-



K. Tomorowicz — Krajobraz w Chmielnie

gładzie tkwi głęboko ukryta niechęć do impresjonizmu i nie dostrzeganie, że z epoki tej wyszli a nawet tkwili w niej nie tylko „pointyliści”, „rozkładacze formy”, ale także ci, którzy podjęli wysiłek budowania formy kolorem i ci od których wyszło współczesne malarstwo dekoracyjne. Dlatego nagrodzenie dwu świetnych kolorowych obrazów Eugeniusza Eibischa chcielibyśmy odczytać nie tylko jako uznanie indywidualnej pozycji tego malarza, ale także jako wskazanie na konieczność twórczej kontynuacji dobrej tradycji malar-

TROCHĘ PSYCHOLOGII

PRZYPOMNIJMY sobie dwa płótna Zbigniewa „Mickiewicz” i Jul. Studnickiego „Mikołaj Kopernik — bołownik postępu”. Dwa obrazy malarskie są na poziomie „wstawowych szczytów”, to jednak co uderza przeciętnego widza określiłbym jako niedostatek psychologii. Szary starszy z gazetą na kolanach i mężczyzna w czarno-czerwonym kubraku, nie narzucają niczego z tych treści jakie zwykło się wiązać z dźwiękiem ich nazwiska. Nie chodzi tutaj o akcesoria Mickiewicza ma w ręku „Trybunę Ludów” a na stole Kopernika stoi drewniane planetarium — ale to i tak nie pomaga. Więc o co chodzi?

Jeśli człowiek w obrazie jest plamą kolorystyczną i niczym więcej spór o psychologię nie ma sensu. Ale w malarstwie świadomie portretowym powinno chodzić przecież o człowieka także z innego punktu widzenia niż zestawienie koloru policzka z kolorem tła. Powinno iść ni mniej ni więcej tylko o sztukę malowania duszy, o te wszystkie tajemnice o ludziach jakie powierzała nam mistrzowie dawnych epok Da Vinci, El Greco, Rembrandt, Goya. I doprawdy nie ma sensu odgrzewać starego sporu czy psychologia jest wartością czysto malarską, raczej sprawę postawić trzeba tak: jakimi wartościami czysto malarskimi, nie uciekając się do teatralnych sztuczek, oddać osobowość modelu?

Leonardo mówił, że „żywy wyraz afektów” równie jest ważny jak dobry rysunek. Powróćmy do tej mądrości, do żywego języka afektów ludzkich.

Portrety psychologiczne dały K. Łada-Studnicka, Z. Lipińska, J. Kraupe (Oczekiwanie macierzyństwa) U. Kuhnke, M. Ostrowska.

POKUSA TEATRU

W TYM roku najubojniej obrodziła tematyka historyczna. Jedynym miejscem, gdzie poza malarstwem widzi się naoznie historię jest — teatr. Stąd pewnie niebezpieczeństwo zbliżenia tych sztuk. W wielu obrazach o Koscie Napierckim czuło się ten teatr i w dodatku nie był on najlepszy. Kostiumy leżały źle, aktorzy, pełni prowincjonalnej afektacji, deklarowali swoją niezłomność wśród sztucznych światła, efektów na chwilę, prawdy na niby. I nawet bliższa historia zrobiona by-

szucznych też lichego melodramatu. Ale było to bądź co bądź, coś w rodzaju „żywego obrazu” urządzonego na zakończenie akademii, gdy „Mickiewicz recytujący Konrada Walenroda” H. Krajewskiej, miał w sobie absolutną martwość gabinetu figur woskowych.

W STRONĘ KRAJOBRAZU

W „ZŁOTEJ KSIĘDZE” gdzie umieszczono uwagi o wystawie, ktoś bardzo ładnie i nawiśnie napisał, że chciałby więcej polskich gór i dolin, uwiecznionych przez artystów. To prawda, że pejzaż obrodził ilościowo skromnie. Za to krajobraz Tomorowicza pozostał nam na długo w pamięci a także wracaliśmy często do paru innych obrazów Makiny, Marczyńskiego, Pagowskiej.

Natomiast stary zepsuty duch „Zachęty” tej dawnej patronującej naturalistom powiódł od pracujących krajobrazów Mackiewicza, Zarębskiej, od portretu Janowskiego i od niestarzejących się krów Lasockiego, które przypomniały naszą nie całkiem górną młodość.

ZŁOTA KSIĘGA

ZŁOTA KSIĘGA uwag publiczności nie zawierata niestety zbyt wiele złotych myśli. Przeważa raczej metal podrzędny, czasem tak jak odkopać można na śmietniku. Często w różnych kontekstach występował arcydzieło „lipa”, wielu dowcipistów radziło malarzom, aby zajęli się czym innym. Niektóre dowcipy — oddajmy sprawiedliwość — były niezłe, ale cała ta atmosfera kpiny była niepo-



K. Łada-Studnicka — Chopin

kojąca. Jedno było niewątpliwie: ludzie, którzy jednym słowem oceniają wystawę nie potrafią mówić o konkretnych przedmiotach sztuki.

Natomiast dopiski na kartkach z tytułami były czasem zdumiewająco trafne. Stąd pomysł, koło każdego obrazu umieścić „skrzynkę wrażeń”. Może to wreszcie nauczy przed wydawaniem ogólnych aprobat i potępień pomówić trochę nad każdym dziełem ludzkiego wysiłku, (to znaczy) ludzkich słabości i osiągnięć.

Stefan Martha

Z LISTÓW DO REDAKCJI

Odpowiedź sprawozdawcy

Szanowny Panie Redaktorze!

ODZWIĘK mego artykułu „O metodzie biograficznej” (Dz i J. nr 7) — listy do redakcji pp. Wojciecha Baka i Aliny Swiderskiej, zamieszczone w nrze 10 „Dziś i Jutro”, skłaniała mnie do prośby o opublikowanie poniższych uwag

Sprawa, poruszona przez p. W. Baka przekracza ramy zwykłego sprostowania, dotyczy ważnego zagadnienia — sprawozdawczości literackiej.

Cecha nieodłączna wszelkich prac w tej dziedzinie jest kondensacja czyich poglądów. W tej sytuacji każda relacja, poza stenogramem, jest pewnym zniekształceniem, donuszczeniem z konieczności i utwierdzonym zwyczajowo w rubrykach periodyków, przeznaczonych na te cele. Osiągnięcie równoczesnego połączenia zwięzłości i ścisłości, o którym wspomina p. Bak, w zasadzie słuszne i pożądane, jest zatem postulatem względnym, dążeniem do optymalnym proporcji obu czynników. Osiągnięcie tych proporcji nie zawsze zależy od wieku sprawozdawcy, co zdaje się sugerować ton notatki autora „Piętej Ewangelii”.

W moim przekonaniu optimum takie można osiągnąć jedynie na drodze wyłonienia z obfitego materiału tych, ich motywacji, wniosków oraz dygresji, zwykłych dla każdej dyskusji — zasadniczych, ogólnych myśli, które sumarycznie odzwierciedlają postawę autora wobec problemu. Tylko takie myśli można przytaczać bez cudzysłowu, one też najmniej tracą na braku kontekstu. Przedstawienie takich zasadniczych postaw wobec problemu biografii literackiej było moim zadaniem w

sprawozdaniu w poznańskiej dyskusji nad „Kształtem miłości”.

Poglądy, które p. Bak wyłożył w swym liście dla sprostowania rzekomego zniekształcenia, jakiemu uległy w artykule, stanowią jedynie szczegółową motywację też zasadniczych, które tekst sprawozdania przytoczył. Sądzę, że gdyby ktoś po przeczytaniu listu p. Baka, a nawet On sam, zabrał się z kolei do zamknięcia wywodów w jednym czy dwóch zdaniach, niewiele by odhległ od tych sformułowań, jakie podałem w zaatakowanym artykule. Istota wypowiedzi nie uległaby zapewne zmianie, wróciłibyśmy jedynie do punktu wyjścia.

Ponieważ streszczona dyskusja była długa i ożywiona, każdy z dyskutantów znalazł się w położeniu p. Baka i ma prawo do takiego samego przytoczenia swej wypowiedzi in extenso. Niestety ramy, przeznaczone przez piśma kulturalne dla tego rodzaju sprawozdań są zbyt szczupłe i sprawozdawca musi się z tym faktem liczyć. Jeden z motywacyjnych wywodów, które p. Bak przytacza, znajdował się niemal w identycznym brzmieniu w pierwotnym tekście mego artykułu, lecz w związku z koniecznością zacięnienia pracy do ram niepełnej kolumny, musiał ustąpić miejsca myślom przewodnim dyskusyjnych wypowiedzi.

Wytłania się kwestia czy zatem celowa jest publikacja tego rodzaju streszczeń sprawozdawczych? Sądzę, że tak. Dorobek myślowy posiadanej Sekcji Twórczych ZLP, choć często niewykonywany, surowy, sygnalizujący jedynie pewne zagadnienia lub rozstrzygający je — na pewno liczy się jednak do

znamiennych i ciekawych zjawisk życia literackiego i wydatnie je ożywia. Nie należy rezygnować z przedstawiania tego dorobku szerszej publiczności.

Można jedynie istotnie pójść za radą p. W. Baka, przyjmując anonimową relację poglądów w oderwaniu od ich autorów. Kronikarza chroni to przed sorostowaniami, sprawozdania upodobni jednak do ech kapturowych konwertykt i oddali je notrosze od konkretnego środowiska literackiego.

Panią A. Swiderską i innych czytelników, którzy z lektury sprawozdania mogli odnieść podobne wrażenia, pragnę unewnić, że w przebiegu poznańskiej dyskusji nie było cienia, uwłacza, jacego osobie Słowackiego. Rażący czytelniczkę zwrot padł bardziej pod adresem ogólnego fenomenu psychologicznego niż konkretnej osoby. Postać Juliusza dostarczyła jedynie pretekstu do szerszych rozważań nad złożonością natury ludzkiej, co po części wyraża list p. W. Baka. Jednak w wyniku takiego oddźwięku artykułu, przynajmniej ze skrupuła, że określenie „gieldziarz” bez zaznaczenia, iż nikt zawodowego uprawiania operacji finansowych wieszcowi imputować nie zamierzał, budzi niepożądane sugestie. Tym nie mniej obrona Juliusza, z jaką wystąpiła p. Swiderska w słowach: „Oszczędności swoje lokował — tak jak to czyni wielu innych — w papierach giełdowych, a dzięki wrodzonej bystrości w tym kierunku, potrafił zawsze wybrać odpowiednią lokatę tak, żeby na tym nie stracił, ale zyskać” — przypomina trochę przysłowiowy dar Danajów.

Leszek Prorok

NA DRUGIM PLANIE

FIAKREM PO ŚRÓDMIEŚCIU

ZYMIEM w czasach, kiedy poezja starzeje się szybciej, niż poeci. Bywa bowiem tak, że poeta czuje się jeszcze młody, jeszcze mu się marzy tom lub tomik, który chce przekazać potomności, jeszcze ręka chyżo biegnie po papierze, a by skusić muzę do nowego śpiewu, ale muza już się nie kwapi, drepce pomaluszku, zaciąga jakoś nie po dzisiejszemu, gubi rytm, jak gdyby zdziwiona, że tu — tramwaje, autokary, a nawet zaczątki jakiegos tam metra, kiedy za jej czasów, panie dzieju, fiakry, ba, nawet karocze...

Oczywiście, starzejąca się muza jest córą Apollona z nieprawego łoża. Prawdziwa muza nie starzeje się nigdy. Młody jest Homer, Wergiliusz, Horacy, młodocia tchnie Kochanowski, Rey czy Potocki, nie zestarzał się Krasicki, Naruszewicz czy Węgierski, czas nawet nie naruszył cokołu Tamtych Trzech, nie boi się starości Kasprowicz, Tetmajer, Staff, nie grozi starość Jastrunowi, Broniewskiemu, kpi sobie z niej Gałczyński. Coś im czas odbierze, coś w nich nadgryzie i w bezlitosnej perspektywie przemijania pomniejszy czy ośmieszy, coś w nich zapachnie myszka, ale każdej wiosny odkwitną chyba na nowo.

Poeci, którzy zbyt się związali z konwencjami literackimi swego okresu i nie mogą czy też nie potrafią zerwać wygasłych już zobowiązań wobec jakiejś idealnej wierności „swolm młodym snom”, a jednocześnie pragną żyć jeszcze w poezji, i to w poezji współczesnej, w poezji przenikniętej rytmem naszych dni — skazują się, może heroicznie, ale przede wszystkim nieroztropnie na dziwność, jeśli nie śmieszność anachroniczności. Wybierają się staromodnym fiakrem na przejażdżkę po rojnych ulicach współczesnego śródmieścia. Narażają się na uwidoczenie bolesnych dysproporcji, prowokują mimowolnie ostre dysonanse.

Gdyby w swojej bryczce wjechał na ulice rojnego miasta imci pan Rey z Nagłowic — mniej by było nieporozumień i zdziwień. Wyrażona odrębność epoki pozwoliłaby na jasne rozumenie różnic, pomogłaby w uchwyteniu wspólnych spraw. Natomiast pan ubrany współcześnie i tulący do łona bar-don nastroszony na wysoką nutę, śpiewający o socjalizmie w rytm dawnych wierszy poświęconych podniebnym jazdom wśród gwiazd — jest ilustracją przeżytej konwencji.

Trudno, szacunek szacunkiem, zastęga zastęga, ale trzeba obiektywizować cudze przeżycia subiektywnie choćby w bolesnych stwierdzeniach. Wiemy, że piękna naszej minionej poezji nic nie obali, wiemy, że warto korzystać z bogactw naszej kultury narodowej, z pięknych tradycji naszej wersyfikacji, ale nie wolno nikomu zapominać, że mechaniczne adaptacje są błędem, że przemiana w widzeniu świata powinna być także przemianą w wyrażaniu świata. Pochylajmy się jak najtroskliwiej nad skarbcem naszej przeszłości, pielęgnujmy w sobie z największym pietyzmem umiłowanie dla jej piękna. Ale protestujmy przeciwko socjalizmowi z myszka, przeciwko fiakrom w śródmieściu, przeciwko fałszywej kontynuacji fałszywych.

bo zanachronizowanych sposobów wyrażania świata. Poczeka jest ciągle wyprawą Kolumba. Wymaga ciągłej czujności odkrywczej. W poezji nie wolno drzemać, by obudzony się po latach o nowym dniu śpiewać jak za dawnych lat. Nawet — powtórzmy to — największy szacunek czy sympatia dla dawnych zasług twórcy nie powinny powstrzymać od ukazania jego błędów anachroniczności.

Przypomina o tym nowo wydany tomik wierszy milczącego od dawna poety, Edwarda Kozikowskiego*). W tomiku tym Kozikowski określa swoje stanowisko wobec nowych przemian, składa poetyckie wyznania o swoim przeżywaniu rewolucjonizującego się świata. Trudno nie pochwalić tego wysiłku. Trudno nie cieszyć się z wewnętrznego przełomu autora. Ale jeszcze trudniej nie odnotować jego błędów, które mogą się okazać nie tylko błędami wyrażania, ale także błędami przeżywania. Błędy te, to: koturnowy patos, pompacyjna frazeologia, bombastyka słów, najgorzej rozumiany tradycyjizm, powierzchowność relacji

*) Edward Kozikowski: Mowa ludzka. Czytelnik, red. Jerzy Lisowski, 1951, str. 46

poetyckiej, hiperboliczność, granicząca wręcz z teatralną afektacją, gestykulacja demagogicznego trybuna, jednym słowem: deklaratywność w przybraniu miódopol-skim.

Mocne to słowa, ale mocne też stoją za nimi argumenty. Oto jak poeta wita wielką przemianę:

„Niechaj Twe Imię będzie pochwalone. Rewolucjo, Kochanko niedzicy, że pod Twoim sztandarem czerwonym przechodzimy do życia od marzeń.“
(„Z kart historii...“, str. 5)

Ładunek ewentualnego wzruszenia autora obiektywizuje się w takim kształcie artystycznym jako werbalistyczna deklaracja, bombastyczna apostrofa, której patos jest w stosunku odwrotnie proporcjonalnym do odczuwanej prawdy artystycznej. Ideowej. Ten ton wyznaj jest charakterystyczny dla większości utworu. Już w następnym czytamy:

„wzięto cię, Ojczyzno, za drutami i bagnetem jak Bogu toczono krew z boku“.

a dalej:

„...wznosimy pospółtu w pocie czoł i chwale cię, Ojczyzno, dźwignięta nie lecz morzem krwi przelanej i bezmierzem nieszczerze.“
(„Jak żołnierz trwam na warcie“ str. 6)

Rozpatrywane słowo wciąga

autora w jakieś mesjanistyczne ogólniki i mętniactwa, stawia mu przed oczyma jakąś „potworną Echidnę”, przeraża czytelnika rozdetą monstrualnie frazeologią poetycką.

W takim wyrażeniu świata musimy dopatrywać się podcibnego przeżywania świata, to znaczy procesu emocjonalnych tylko skojarzeń, pozbawionych zupełnie udziału intelektualnej kontroli, nawiązujących czy po prostu tkwiących w systemie przeżytych nawyków, przeżytych kategorii uczuciowych. Aż dziw bierze, gdy dostrzegamy w tak zorganizowanym świecie poetyckim aż tak wielką wiarę w siłę poezji, że ona:

„...weźmie nie pytając, jak Dzeus, rząd wypędziwszy Tytanów za brame piekielna, i ziemię wyprowadzi z metu i burz, i da nam znów po latach poznać NIESMIERTELNOŚĆ.“
(„List do Leopolda Staffa“, str. 9.)

Dzeus, Tytany, brama piekielna, morze krwi, umęczona Ojczyzna, rewolucja jak lwica — nie, na miłość Boską, poeta tak piszący może marzyć tylko o nieśmiertelności papierowej, drukowanej wersalkami.

Każdy cytat wygląda tu na złośliwość czy pastwienie się nad tek-

stem. Nie można cytować bez końca, nie można z braku miejsca przenieść na papier wszystkich podkreślonych strof, gdzie „pragnienie przesywa nam piersi jak sokół“ (str. 34), gdzie „łopot skrzydeł pod niebem dudni“ (str. 38), gdzie Howard Fast „wyciąga z lamusa dziejów fakt za faktem, aby nietolerancję wytknąć istniejącą po dziś dzień w społeczeństwie“ (str. 40). Ale wydobędzmy z lamusa „Mowy ludzkiej“ jeszcze jedną strofę, w której słowo „pokój“, jak pisze poeta:

„zagrzewa nas do walki w tym zamęcie burz, gdy kapitalizm kona jak niedźwiedź w ostępie, i nowy ustrój wstaje jak wyspa z dna mórz, i ogarnia świat cały w błyskawicznym tempie.“
(„Od mongolskich bezkresów...“ str. 33)

Niechaj ta strofa będzie bolesną pointą omówienia, w którym chodziło przede wszystkim nie o spostonowanie nowego tomiku dawnego poety, lecz o ukazanie trudnej prawdy, że „w błyskawicznym tempie“ nie można jeździć staromodnym fiakrem. Przykro mi, że prawdę tę zilustrował autor „Mowy ludzkiej“, ale chodzi przede wszystkim o prawdę mowy poetyckiej.

Z. L.

Przywrócony Polsce

(Dokończenie ze str. 5)

„W gimnazjum rastemborskim było trzech profesorów Polaków: p. Bryłowski, dygnitarz masonski, Kaszuba, pochodzący z Prus zachodnich; wykładał geografii i historii; nie miałem z nim żadnych stosunków. Drugim był prof. Kuehnast, urodzony pod Warszawą, gdzie za pruskich czasów ojciec jego był urzędnikiem; posiadał on bardzo ładną bibliotekę klasyków polskich — podobno napisał nawet polską rozprawę o naszych pieśniach religijnych — ale chociaż był wielkim moim przyjacielem, nie chciał mi pożyczać żadnych książek polskich, ofiarując natomiast wszystkie greckie i łacińskie dzieła“.

Geografa i historyka nie zainteresowało przedzłazanie się wartościowego młodego człowieka ku polskości. Ani się nim zajął szczególnie powołany do tego polonista. Wsparł go dopiero trzeci profesor, matematyk, zacy Kłupsz z Wielkopolski,

„który otaczał mnie zawsze życzliwą opieką — pisze Kętrzyński — i nie odmówił nigdy polskiej książki, skoro go o to prosiłem. Już był wiekowy, ale po niemiecku mówił zawsze z akcentem obcym“.

Gruntowna przemiana wewnętrzna, o której Kętrzyński opowiada na kartach pamiętnika, z dumną prostotą i powściągliwością, doprowadziła go zapewne do zatargu z umiłowaną i uwielbianą matką, surową i nieustępliwą żołnierzką niemiecką. Kętrzyński zbywa parę oszczędnymi słowami matczyne „zmartwienie“ i „zawiedzione nadzieje“.

Za młodu odezwał się w Kętrzyńskim zdobywczy instynkt rewindykatora z powołania. Sam odzyskany, wrócony Ojczyźnie, będzie kiedyś z uporem, zbrojny w obrzygniętą wiedzę o Mazurach, kraju i ludziach, pomagał Polsce w odzyskiwaniu zmęczonych synów.

Po latach będą kołatał do niego, czerstwego, dobroserdecznego, mądrego starszego pana o sumiastym sarmackim wąsie, rozmaitym nosicielem strasznie zniekształco-

nych nazwisk polskich z doda'kiem „von“ i „zu“, ex-wojskowi, mole z biurokracji, adwokał i gutbezicery, ażeby zeszkobał z nich wrogi, czarno-żółty malunek. Kętrzyński znacznie badał, wertował herbarze, szperał i zeszkobawszy w końcu czarne i żółte, radośnie klepnął po ramieniu proszącego, w którym odkrył brata Polaka.

Brał również pewien udział w przygotowaniach do powstania 1863 r. Akurat kiedy tracono Sierakowskiego, zjechał Kętrzyński do Wilna, przywoząc ważną kwerendę rządu francuskiego o wydarzeniach na Litwie i na Żmudzi. Następnie nawiązał kontakty z Kurpiami, z oddziałami powstańczymi w Puszczy Myszynieckiej. Aż zadenujowany wpadł w Olsztynie. Trafił najpierw do Berlińskie. go Moabitu. Z Moabitu powędrował szupasem do Kłocka.

Indygenat polskiego patrioty — trzy lata pruskiej twierdzy.

Odda Kętrzyński „całe życie sprawie, która uświęciła Mu młodość“ — sprawie Polski.

NIE BYŁ Wojciech Kętrzyński czynnym działaczem politycznym, temperament i tęsknoty twórcze — we wczesnej młodości zaspokajane pod znakiem liryki — pociągnęły go gdzie indziej, w kierunku pracy naukowej.

Do historii. I to specjalnie do historii Polski.

Wziął się Kętrzyński do obrony prawdy przed uroszczeniami i świa domymi kłamstwami junkrów w tożach profesorskich, wziął się do skrzętnego gromadzenia i inwentaryzowania wszelkich dokumentów zawierających materiały do pomnożenia wiedzy o Polsce, o jej obyczajach i kulturze.

Iluż historyków zawdzięcza Wojciechowi Kętrzyńskiemu, znakomitemu dziełopisowi, od r. 1871 kolejno sekretarzowi naukowemu, kustoszowi i dyrektorowi Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, ważną pomoc w studiach, pomoc w stworzeniu warsztatu ba-

dawczego, przykład i wzór do naśladowania, twórczą podniętę.

Kętrzyński studiował historię na uniwersytecie w Królewcu. W 1866 złożył — w niemieckiej uczelni — dyseratację doktorską o wojnie Bolesława Chrobrego z Henrykiem II. Niebawem zadebiutował na zewnątrz dziełem o starożytnych Ligach, „Die Lygier“. Udowodnił w nim tożsamość Ligów i Lechtów i prabyt szczepów czysto siołwiańskich na rozległych przestrzeniach od Wisły do Elby. Gorąco również interesowały Wojciecha Kętrzyńskiego początki stosunków polsko-krzyżackich. On to obalił legendę o Konradowej darowiznie Ziemi Chełmskiej i Prus Krzyżakom.

Określono Kętrzyńskiego: benedyktyn. Podziwiał jego pracowitość Władysław Semkowicz, że przejrzał lleczbę archiwów i kodeksów, jak nikt z polskich naukowców. Starych nie starych, piwnica nie piwnica, zabity kąt klasztoru na prowincji i księgozbiory „całej Rzeczypospolitej“, wszędzie wspiął się, wczłogał, wszędzie dotarł, acz mu nie szło sporo, gdyż był w sobie przyciężki i wzrostu Podbiplęty. Lecz wyrwać zniszczeniu skazane na przepaść pomniki kultury, wydobyc z pyłu reszeczki pergaminów i przytulone do nich radosne pamiętki staropolszczyzny, potem wrócić do „warsztatu“, rozprostrzeć na biurku najmiłsze zdobycze i mozolić coraz bardziej zmęczone oczy nad wskrzeszeniem starego polskiego świata — w tym upatrywał swe życiowe powołanie.

Dolce mania.

Nie było roku, aby nie przysporzył społeczeństwu polskiemu jakiejś szacowanej pozycji źródłowej.

Historia, paleografia, etnografia, archeologia, heraldyka, krytyka naukowa i recenzja — w dziedzinach tych osiągnął Kętrzyński szczyty rzadkiej doskonałości oraz imponujące ilością wyniki. Od 1865 do 1917 roku poruszył 245 fundamentalnych kwestii w artykułach przyczynkarskich, drobniejszych esejach. Jako też w wieloletstnicowych dziełach o

szerekim oddechu. Pisał spokojnie i z rozmysłem, w znoju ustawicznego sprawdzania erudycji, naświetleń i koncepcji, językiem wartkim, ciepłym, nieskazitelnie polskim o pełnej dostojności i prostocie.

Dzieła Kętrzyńskiego „Nazwy miejscowe Prus Zachodnich i wschodnich wraz z przezwiskami niemieckimi“ i „O ludności polskiej w Prusach niegdys Krzyżackich“ bezspornie udokumentowały polskość Pomorza i Mazur, ziem, które

„były od najdawniejszych czasów i długo przed tem, zanim powstał Zakon, w posiadaniu narodu polskiego. Naród polski pierwszy je uprawiał, zamieszkiwał i zaludniał, miasta i wsie zakładał, gromadził, miastom i wsiom, rzekom i górcom, polom i lasom wyznaczał granice i nadawał im nazwy i przezwiska polskie aż do dziś dnia trwające; naród polski ziemi owe i obecnie uprawia i zamieszkuje.“

Były polskie za czasów krzyżackich i zostaną nimi, da Bóg, i na przyszłość“.

W 1918 r. śmierć przerzedziła przedni hufiec naszych historyków. Odeszli cicho i Tadeusz Kozron i Ludwik Kubala i zapalny Stanisław Zakrzewski.

Zgasił w tym roku i Wojciech Kętrzyński.

Świątobliwy arcybiskup lwowski, Józef Bilczewski, napisał po Jego śmierci do kuratora Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Andrzeja Lubomirskiego:

W chwili, kiedy przyjąłem śp. Wojciecha Kętrzyńskiego na to no Kościola, powiedział do mnie te słowa: Dotąd byłem uważany z Ojczyzną węzłem narodowości. Teraz jestem z nią spójony także węzłem świętej wiary katolickiej. Ogromnie za to jestem wdzięczny Bogu. Możesz to, Arcypasterzu nasz, powie dzieć całemu światu“.

W dwadzieścia kilka lat po śmierci odzyskanego dla Ojczyzny Wojciecha Kętrzyńskiego, odzyskana została przez Naród jego ziemia rodzinna.

Jan Radzym

CZYTAJCIE

„SŁOWO Powszechne“
PISMO CODZIENNE

Pronisław NOWICKI

Z PRACY SEKCJI PROZY Z L.P.

Leszek PROROK

CZY TRAKTAT?

(Uwagi cudze i własne)

POSIEDZENIE sekcji prozy Warszawskiego Związku Literatów Polskich, poświęcone omówieniu tetralogii Kazimierza Brandysa, przyciągnęło wielu słuchaczy, między innymi krytyków z Krakowa i Poznania. Posiedzenie zapowiadało się tym ciekawiej, że zagajal je sam autor, dzieląc się z audytorium doświadczeniami zdobytymi w toku pracy nad cyklem „Między wojnami” — Cykl ten zrodził się z poczucia konieczności rozwiązania wielu problemów istotnych dla dwudziestolecia, które jeszcze po wojnie odgrywały bardzo dużą rolę w psychice narodu i konieczności przetrwania pomostu między tamtymi sprawami a nową rzeczywistością. Były to typowe „obrachunki inteligentki pisarza inteligenta”, który, jak twierdził, musiał się obrachować z samym sobą. Przy takich założeniach nie można było dać książce pełnego przekroju opisywanego zjawiska, czego krytyka, z właściwą sobie niewyrozumiałością, niejednokrotnie żądała.

Według pierwotnego zamiaru autora tetralogia miała być jedną książką o trzech bohaterach (Pankrat i Julian wyrosli w trakcie pracy), jednak zbyt rozrastała się objętościowo, aby wykonanie tego zamiaru było technicznie możliwe.

Przyjęty niemal bezspornie przez krytykę termin „socjologiczna konstrukcja losu ludzkiego” na określenie „zgrubsza” ideologii a raczej założeń filozoficznych tetralogii, uważa Brandys za niezupełnie trafny — chodziło mu o marksistowskie przedstawienie rzeczywistości przedwojennej i okupacyjnej (mowa o pierwszych trzech tomach, czwarty wypływa już z innych trochę założeń). Dlatego też każdy z bohaterów pierwszych trzech części doprowadzony jest przez autora do pewnego progu, którego przekroczenie jest dla niego ostateczną zgubą, zaś cofnięcie się w porę — jedynym ratunkiem. Od wyboru w tym momencie zależy uratowanie własnej godności ludzkiej bohatera. Próg ten przekroczył zarówno Ksawery jak i Julian Szarley, dobry wybór uczynił tylko Jakub Gold — zginął, zadokumentowawszy swe prawdziwe człowieczeństwo pełnią zrozumienia dla znaczenia sprawy, której poświęcił młode życie.

Brandys poruszył również w swoim zagajeniu ważną rolę krytyki w dalszej pracy autora. Z załamaniem stwierdził, iż recenzji pomagających mu wykryć własne niedociągnięcia, było bardzo niewiele, należała do nich przede wszystkim recenzja Henryka Markiewicza, która między innymi pozwoliła autorowi zrozumieć błędność fatalistycznej koncepcji losów Ksawerego w „Antygonie”.

OSTATNIM zagadnieniem, któremu poświęcił Brandys wiele uwagi, była sprawa typowości postaci i sytuacji. Krytyka zarzucała nietypowość wszystkim pod rząd bohaterom Brandysa począwszy od Jakuba Golda poprzez Ksawerego i Juliana do Pankrata i Tola. Właśnie. Tymczasem twórcą tych postaci uważa (i słusznie), że typowość problematyki usprawiedliwia nietypowość bohaterów. Niepełnowymiarowy Jakub, ów „prostaczek rzucony w piekło” pozwala wyraźnie pokazać największą niehumanitarną stronę faszystowskiego lub tylko faszystowskiego — prześladowanie człowieka za sam fakt jego istnienia. Nietypowy Ksawery aeryzista, którego ściga prawo sanacyjne — służy do wykazania charakterystycznego dla kapitalizmu zatarcia granicy między interesem a przestępstwem. Szarley — kapitalista, któremu się nie udało — jest przestępcą, podczas gdy równa mu poziomem moralnym Orszyna pozostaje obojętnym szacunkiem producentką opinii i ideologii. Julian, również nietypowy doskonale ilustruje upadek moralny człowieka, który nie walczy z kapitalizmem. Fakt, że wydaje on przypad-

kiem komuniste swemu przyjacielowi — działaczowi faszystowskiemu, nie jest, zdaniem Brandysa, tak bardzo przypadkowy — wskazuje on ciężenie apolitycznych inteligentów ku faszystom — siłą ich własnej ślepoty.

I tu... pokusa dorzucenia paru własnych uwag jest zbyt silna, aby się jej, sprawozdawca oparl. Zarzucano Brandysowi: metaforyczność, symboliczność, nietypowość bohaterów, brak pełnej realistycznej charakterystyki, brak pogłębienia psychologicznego bohaterów. Andrzej Kijowski nazwał cykl Brandysa traktatem z ekspertyzą, książkami o marksizmie, stosunek autora do bohatera — stosunkiem eksperymentującego uczonego do posłusznego preparatu, warsztat pisarski Brandysa — wielkim laboratorium. W przeciwieństwie jednak od innych dyskutantów uznał to za zaletę powieści. W konsekwencji musiał zganić momenty przez innych chwalone — tę zbyt wielką dozę inteligencji, którą obdarzone były niektóre postaci (zwłaszcza ujemne) dzięki bardziej realistycznej (w sensie psychologicznego pogłębienia) — charakterystyce. Uznał bowiem, iż zbyt inteligentne preparaty często przestają być posłuszne i psują pracę w laboratorium.

Czyż jednak to laboratorium brandysowskie nie wydało najlepszych powieści realizmu socjalistycznego, a więc czy nie jest ono najslusniejszą metodą rozwiązania problemów nurtujących młodą literaturę? Zarzuca się biedaczce schematyzm, „wszystkoizm”, apokaryzacja — zastanawiając się czy przeżywa ono kryzysową chorobę wzrostu (niewłaściwie to drugie). Wszyscy jednak musimy się zgodzić, iż jej coś dolega. Cóż jednak jest przyczyną tej dolegliwości, czy przypadkiem nie swoisty „wszystkoizm” postulującej krytyki? Żąda się od literatury socjalistycznej wydobycia novum, ukazania perspektyw rozwojowych, a więc ogarnięcia świata historycznym, syntetycznym spojrzeniem, wymaga się całkowitej oceny rzeczywistości i ukazania tego, co w niej istotne w teraźniejszości oraz tego, co będzie istotne w przyszłości. Realizacja tych wielkich i trudnych zadań ma zmieścić w sobie wszystkie środki artystycznego wyrazu wypracowane przez realizm krytyczny, a więc owo pogłębienie psychologiczne, rejestrację wszelkich uczuć i drgnięć wewnętrznych (bo przecież o to chodzi, choć się tego expressis verbis nie wypowiada), bogactwo realiów. Pragniemy oglądać pozytywnego bohatera od środka i od zewnątrz, w pracy zawodowej i organizacyjnej, no i oczywiście w życiu osobistym (biada jednak autorowi, jeżeli jedną z tych stron życia bohatera rozbuduje).

Czyż to bogactwo szczegółów, ta wszechstronność charakterystyki, to malowanie „pełnych” ludzi nie odbywało się właśnie kosztem ich pełni, czyż nie wpływało to na pewną, nie zawsze prawdziwą obiektywność spojrzenia? Czyż nie dlatego wielcy realisci krytyczni mogli zmieścić w swoich dziełach tyle motywów luźnych, charakterystycznych bohatera i środowiska, że inaczej rozumieć rolę sił napędowych swojej epoki, że nie wydobyci zjawisk typowych, nie umieli i nie musieli patrzeć w przyszłość, a więc nie obowiązywała ich ścisła selekcja materiału? Wystarczyło im świat pokazać, dlatego mogli to zrobić z całym bogactwem szczegółów.

NIE należy się obawiać, aby takie książki nie podobały się szerokim rzeszom czytelników, najlepszym dowodem powieści Brandysa. Są to traktaty, ale dobre, udane artystycznie, więc znajdując czytelników nie tylko wśród pensjonarek, ale nawet wśród ich babek. To nie kpiny, lecz dowód, że bohaterowie tych powieści żyją mimo

niedorysowań psychologicznych — i to jest chyba największym osiągnięciem artystycznym Brandysa, a może nawet wskazującym powieści socrealistycznej — sposób wyjścia z trudności, w której tkwi obecnie.

Wracając do dyskusji należy stwierdzić, że „zablokował” ją Matuszewski odczytaniem swojej tasiełkowej, acz niewątpliwie cennej recenzji (ciekawych odsyłam do „Nowej Kultury” z dn. 24.II 1952 r.), w której głównie zarzucał Brandysowi błędność w stosowaniu odmiennej techniki przedstawiania postaci dodatnich i ujemnych. Za tych pierwszych mają mówić tylko czyny, a świat wewnętrzny jest czytelnikom niedostępny. Rażąco odbija się na tym tle zastosowanie wobec postaci ujemnych charakterystyki od wewnątrz, przeważnie metodą pamiętnika. Jest to bowiem technika niewłaściwie zbliżająca postać do czytelnika i prawie zawsze narzucająca temu czytelnikowi sympatię względem bohatera.

DALSZE wypowiedzi dyskusji podkreślały silnie intelektualno-filozoficzny charakter tetralogii Brandysa. Flaszem uznał za przyczynę tego zjawiska pierwszorzędne opanowanie przez autora techniki pisarskiej w opisie myślenia i odczuwania, co sprawia, że najbardziej przekonująco wypadają postaci bierno; jednostki aktywne, jak Ksawery, ukazane są nie w działaniu, lecz od strony decyzji lub oceny własnego czynu. Rymkiewicz niepokoił się przewagą założeń intelektualnych nad obserwacją, o której Brandys w swym zagajeniu ani razu nie wspominał. Przedstawiciel Poznańskiego Związku Literatów — Leszek Prorok zastanawiał się nad funkcją licznych większych i drobniejszych symboli, począwszy od tytułów trzech pierwszych tomów — aż do nazwiska Pankrata, które kojarzył z Pankracym z „Nieboskiej”.

Bardzo cenną było wypowiedź Melanii Kierczyńskiej, która wywołała największy niemal oddźwięk w końcówce, wypowiedzi Brandysa. Autorka „Sporu o realizm” zwróciła uwagę na różnicę w postawie autora podczas pisania poszczególnych tomów, co wpłynęło na pewne rozbieżności konstrukcji, uznawane dotąd często na czyste formalne załamania. Bliżej zajęła się Kierczyńska sprawą stosunku Brandysa do swych bohaterów. Podkreśliła atmosferę sympatii autorskiej otaczającej postać Juliana Szarleya, jak również podobny stosunek autora do Ksawerego (oglądamy go często oczyma wernego Kwietnia), tym jaskrawszy wobec wyraźnej nienawiści do równego mu poziomem moralnym Orszyna.

W końcówce wypowiedzi Brandys przyznał słusność zarzutowi Matuszewskiego, dotyczącemu dysproporcji w sposobach charakterystyki bohaterów. Za powód uznał stylizację, którą osiągnął się przy pisaniu trzech pierwszych części, oraz pewną nieudolność swego warsztatu pisarskiego po jej usunięciu. To, co Prorok uważał za symbolizm, nazwał, bodaj słusznie, realistyczną metaforą powieściową. Sympatię swą dla Ksawerego wytlumaczył litością względem człowieka, któremu się nie udało, litością usprawiedliwioną tym, że Szarley posuwał się między liniami rozwojowymi i nie był wrogiem tak bardzo groźnym jak Orszyna, mająca wpływy, a właściwie władzę w swym ręku. (Pogląd uwzględniony już w zagajeniu).

Może by sekcja prozy ZLP postarała się zorganizować więcej posiedzeń zagajanych przez autora omawianej książki? Sądzę, że ta próba mogła tylko zachęcić do kontynuowania tego rodzaju spotkań.

O krytykę wychowawczą

LICZNE w ostatnich czasach cykliczne wypowiedzi w sprawie krytyki literackiej i artystycznej, pracownicy przebieg styczniowego plenum Zarz. Gł. Zw. Literatów Polskich, poświęconego zagadnieniom współczesnej krytyki, nawroty dyskusji w środowiskach literackich aktualizują coraz bardziej zainteresowanie stanem, potrzebami i brakami tego ważnego odcinka działalności literackiej. Dyskusje wciąż wykazują problematyczność wielu pozornie niespornych zagadnień. Niewyjaśniona, a w każdym razie niedostatecznie określona jest nawet pozycja krytyka na tle całokształtu życia literackiego.

Czymże jest bowiem krytyk? Trudno krótko odpowiedzieć na to pytanie, nie zastanawiając się przedtem, komu służy praca krytyka i kto czerpie z niej korzyści.

Krytyk obsługuje dwie grupy odbiorców. Pierwsza, nierównie większa od pozostałej, to czytelnicy i widzowie teatralni, druga, bliższa i z krytykiem ściślej związana, to pisarze wszelkiego autoramentu i realizatorzy sceny: aktorzy, inscenizatorzy itp. Dla pierwszych krytyk jest przewodnikiem i komentatorem. Uczy rozumieć sens utworu, ujawnia piękno i problematykę, nie zawsze dostatecznie widoczną i jednoznacznie pojętą. Odbiorca sztuki chłonie jej piękno i ideologiczny ładunek często bezkrytycznie, odbiera go wrażeniowo. Z lektury czy widowiska wynosi sumę impulsów i doznań estetycznych. Zadaniem krytyka jest intelektualne uświadomienie tych walorów, wzbogacenie ich o rodowod i artystyczną genezę oraz uwypuklenie skutków i powiązań. Te strony krytyki pięknie i górnolotnie nazwał Conrad opowieścią o przygodach duszy wśród arcydzieł.

Inaczej przedstawiają się zadania krytyki wobec świata autorów i ludzi teatru. Zaznacza się tu możliwość dwóch różnych, choć nie przeciwstawnych postaw krytycznych: wartościującej i wychowawczej. Rozłożenie akcentów w naszej współczesnej krytyce literackiej między oboma tymi postawami wydaje się częstokroć niewłaściwe, ono też leży u źródła wielu podkreślanych mankamentów naszego życia krytycznego. W krytyce obecnej dostrzega się przerost funkcji wartościującej w stosunku do funkcji wychowawczej. Praca krytyczna sprowadza się często wyłącznie do osądu, przypomina „przymiarke” dzieła do wzorca ocen, którym posługuje się warsztat krytyczny. Taka krytyka nie pełni roli wychowawczej, jest nadto krytyką pogłębiającą się dystansu.

Dystans ów jest po części przyczyną zamiennego zjawiska, potwierdzonego przez wspomniane na wstępie dyskusje i obrady plenum ZLP — przeciwstawiania krytyków twórcom, jakby dzieliła ich jakaś strukturalna antynomia, przepaść nie do przebycia. Przeciwnostwość ta prowadzi z kolei do nadmiernej profesjonalizacji krytyki. Krytycy zawodowi są oczywiście potrzebni, źle jednak jeśli tylko do ich izolatności sprowadza się krytyka literacka.

Należy zatem dążyć do zniesienia przedziału, do sprowadzenia krytyki z trybuny sędziowskiej na poziom bliższy „podsiądnej” twórczości.

Jest to możliwe przede wszystkim przez rozbudowanie drugiej funkcji krytycznej, funkcji wychowawczej, w stopniu wyższym, niż ma to miejsce do tej pory. Wychowawcza działalność krytyka wzrasta najłatwiej ze współtworzenia. Ma miejsce, gdy wychowawca wzrasta razem z pisarzem, gdy razem z nim brnie poprzez błędy — błędy i potknięcia uczą więcej niż sukcesy — gdy wreszcie nie ogranicza się do krytyki osłanianej, lecz sam poszukuje lepszych rozwiązań.

Możliwości wychowawczego współtworzenia, zwłaszcza w zakresie opieki nad pisarzami młodymi, bez większego doświadczenia i erudycji, pokazuje najlepiej przykład. Jest on może zbyt daleko posunięty, lecz ostre przykłady wyraźnie ilustrują.

Zebrań, odpraw, narady wytwórcze, konferencje, zjazdy są częstym rekwizytem współczesnej beletrystyki, jako charakterystyczny, typowy przejaw życia, zwłaszcza w jego sektorze produkcyjnym. Uczestniczyłem niedawno w dyskusji nad utworem literackim. W jej toku znany krytyk poddał szczegółowe i wnikliwe ocenie taki właśnie literacki motyw narady. Zarzucił m. innymi, że opis narady bardziej przypomina stenogram z zebrań, przytłaczany beletrystycznymi wstawkami, które swej funkcji nie spełniają. Przerost referatowości osłabił znacznie dramatyczny przebieg obrad. Zabrakło literackiego resumé, selekcji autentycznych faktów. Wypowiedź krytyka była ciekawa, argumentacja

szusna, czy jednak taka krytyka wystarczy, czy należy spełnić swą rolę?

W recenzji z „Mądrych Ziół” Stefan Kisielewski, niezadowolony z rozwiązania autorskiego, sugerował twórcy przeróbkę powieści na romans kryminalny czy udziwiony powieściowy melodramat. Był to oczywiście żart krytyka, przez niego samego zapewne nie brany poważnie, tkwiło jednak w tym „szaleństwie” ziarno zdrowej metody. W moim przykładzie sprowokowany krytyk zaczął się głowić nad praktyczną stroną zagadnienia której sam osąd nie rozwiąże. Rzucił przykład literackiego przetworzenia sesji sądowych u Galsworthy’ego.

A przecież ileż rozwiązań konkretnego przypadku nasuwa wynalazczość literacka i czytanie. Naradę produkcyjną można pokazać poprzez czytelne opowiadanie, selekcjonujące szczegóły, poprzez późniejszą echa obrad, poprzez wybór z kilkudziesięciu uczestników osób, między którymi konflikty rysują się najbardziej ostro; można pogłębić psychologicznie rysunek uczestników i w nim zawrzeć istotne cechy przebiegu zebrań. Możliwości nie kończą się na tych kilku propozycjach.

Krytyk z reguły dostrzec może więcej rozwiązań niż autor, urzeczony autentycznymi faktami, jakie zaobserwował, borykający się z trudnościami wyboru Wierności zdarzenia, jakie bierze za podstawę swej tezy, nakłada autorowi nieraz zastane na oczy.

Rozlega się coraz głośniejsze hasło krytyki postulującej. Oczywiście dotyczy ono przede wszystkim zasadniczych haseł, strony ideologicznej utworu czy też wielkiej problematyki literackiej. Niemniej jednak nawet w najbardziej w konkretnie osadzonej pracy pisarskiej, w doborze praktycznych rozwiązań, krytyka postulująca takie czy inne warianty spełni swe wychowawcze zadanie. Który z krytyków nie chce angażować się w postulaty, niech zdobędzie się przynajmniej na konkretne, nieogólnikowe porady. Stawka assekuracyjna od tych ostatnich na wypadek niepowodzenia jest niższa niż przy postulowaniu.

Bliska bezpośrednia współpraca, współzycie z twórcą, a nawet jego najwyższa forma, współtworzenie w pewnym zakresie, pozbawia krytykę cech inkwizycyjnych, zmniejsza przepaść i usuwa rozdrażnienie autorów. Zresztą wychowawcza funkcja krytyki nie ogranicza się do „pogotowia warsztatowego” w literaturze. Przybliżenie problematyki intelektualnej, zwykłej strawy krytyka, niekoniecznej wszakże dla organizmu autorskiego, intelektualne uświadomienie wymagań estetyki to dalszy cenny aspekt wychowania.

Ta działalność wychowawcza objąć może swym zasięgiem nie tylko twórców lecz i odbiorców. Czytelników należy również wychowywać. Jednym z powołanych do tego jest krytyk, tym bardziej, że przedstawia swym typem umysłowości walory, które nie zawsze posiada twórca. „Artysta żeby tworzyć nie potrzebuje zastanawiać się teoretycznie nad swoją sztuką, badać jej stosunek do siebie, natury i reszty ludzi” — pisał St. Witkiewicz we wstępie do zbioru „Sztuka i krytyka u nas” — „Nie potrzebuje rozbiierać spraw psychicznych, zachodzących w nim samym podczas tworzenia, lub w widzach pod wpływem wrażeń odbieranych od sztuki, po prostu nie potrzebuje uświadamiać sobie tego, jak tworzy. Historia sztuki, porównana z historią jej teorii, dowodzi tego na każdym kroku... Przeciwnie krytyk, musi to wszystko rozumieć, być w stanie wytlumaczyć istotę tych zjawisk, a przynajmniej mechanizm ich powstania. Krytyk musi wiedzieć to wszystko, co mogą umieć artyści. Powinien wiedzieć lepiej od malarza, jak się tworzy obraz, jakkolwiek nie jest obowiązany umieć go zrobić”. („Sztuka i krytyka u nas” II wyd. „Książka i Wiedza” 1949 str. 7/8 i 33/34).

W swym artykule o krytyce na łamach „Nowej Kultury” Ryszard Matuszewski rzucił pod adresem pisarzy żądanie, by nie pozostawiali działalności krytycznej wyłącznie zawodowcom, lecz sami również wyświadczali na tej płaszczyźnie. Zdanie słuszne, ukazujące drogę do profesjonalizacji naszej krytyki. Nie zamierzam z drugiej strony zalecać krytykom pisanie nowel czy poematów, sądzę jednak, że bardzo pożądane jest rozgłoszenie się krytyka na dobre w pracowni pisarza — oczywiście gościnie i potrzebnymi takimi odwiedzinami — i to w czasie procesu tworzenia, a nie po jego ukończeniu.

Leon KRAJZE

Sztuka L. Pasternaka

ZALOŻENIEM ideowym sztuki Leona Pasternaka p. t. „Trzeba było iskry” jest wykazanie, jak przodująca część mas pracujących pod kierownictwem partii zwalcza biurokrację i rutyniarstwo, unleszkodliwia wrogów klasowych, wprowadza oszczędności w produkcji i przyczynia się do rozbudzenia zapалу do pracy wśród ogółu. Nawet jednostki początkowo wrogię, uznają swój błąd i pragną przyłączyć się do reszty budującej nowy, wspaniały świat.

Zbadajmy sposób realizowania tej koncepcji w ramach konkretnego dzieła.

W dziele artystycznym elementy te (element treści i element formy) są nierozłączne. Przy ocenie wartości estetycznej dzieła należy jednak rozważyć stopień konkretyzacji idei w obrazie, jego sugestywność, plastyczność.

Żąda się, aby literatura socjalistyczna pokazywała nam nie schematy, nie drewniane kukiełki, ale trójwymiarowe rozbudowane w głąb obrazy ludzi nowych, czy też tych, którzy dopiero stają się nowymi ludźmi.

Sztuka Pasternaka bardzo często nie spełnia tych postulatów. Życie wewnętrzne wielu bohaterów sprowadza się do paru najprostszych i to dosyć niegłębokich odruchów, jak np. pogarda w stosunku do interesantów u p. Reny (sekretarka naczelnika), tępe trzymanie się przepisów i rutyna u Deresza

Dialogi drugiego aktu sprawiają często wrażenie zastenografowanej rozmowy. Byłby to jakiś naturalizm, polegający na nieumiejętności stworzenia wizji literackiej i stąd wynikające ograniczenie się do zanotowania rzeczywistości, do dania językowego odpowiednika świata obiektywnego. A „luzja”, „autentyczność” jakiejś sceny w li-

teraturze nie warunkuje się niewolniczą wiernością wobec sceny będącej jej odpowiednikiem w życiu. Nie znaczy to wcale, żeby Pasternak siedział z notesikiem w gabinecie dyrektora biurokraty. Po prostu ograniczył się do podania elementów składających się na potoczne pojęcie biurokraty (wiemy np. że stróż, to z wasami i miotła, hrabia mówi przez nos, a kulak zawsze chodzi w butach z cholewami). W ten sposób literatura nie wzbogaca, nie pogłębia naszej wiedzy o rzeczywistości. Znamy, znamy — to posłuchajcie, powiada autorzy naklejając etykiety, upraszczać tak skomplikowane zjawisko, jakim jest człowiek. — Nasi pisarze zbyt mało jeszcze myślały konkretnymi obrazami.

Aktywiści partyjni i inicjatorzy współzawodnictwa pracy Anka i Wanat reprezentują w sztuce „nowe”. Emerytowany maszynista Ambroży, przedwcześnie postarzały, wyrzucony dawniej poza nawias życia, odnajduje młodość, gdyż i on dziś jest potrzebny, i on dziś może pracować z pożytkiem dla społeczeństwa.

Początkowo dosyć banalnie ustylizowany na bumelanta Janek widzi jałowość i beznadziejność postawy wrogiej ustrojowi i zrywa z przedstawicielem sabotażowo-spekulanckiego podziemia Klemensem.

Najbardziej blado wypadł Wanat. Autor przegapił szerokie, sądząc z treści sztuki, możliwości rozbudowania tej postaci. Ale do tego jeszcze wrócę. Ciekawszy jest Ambroży, choć rola, którą w sztuce odgrywa, predestynowała go do jakiegoś głębszego przeżywania — mimo wszystko sprawia na nas wrażenie tylko pocziwego staruszka. („W Tragedii” czucie główniejszym powinno być przedmiotem — powiadał Brodziński. Oczywiście „Trzeba

było iskry” nie jest tragedią, ale to nie znaczy, żeby sztuka miała być pozbawiona pierwiastków emocjonalnych). Postać Antoniovej ratuje dosyć żywy i barwny (na tle sztuki oczywiście) język. Anka jest dosyć konwencjonalna, gdy deklamuje o współzawodnictwie, „żyć” zaczyna dopiero pod koniec drugiego aktu. Tak samo Janek. „Janek — Poszedł sobie. Skończyłem” (str. 54). Następuje scena będąca punktem kulminacyjnym fabuły wyznaczonej postaciami Janka i Anki. Janek wyznaje „byłem zatruty. Anuśka nie rozumiesz, bo obracać się między innymi ludźmi. Ja jeszcze dziś jestem zatruty. Nie wiesz, co to znaczy nienawiść, która wkłada ci do ręki jak kół. A tu dokoła choćby nie chciały, patrzysz i widzisz — na lepsze idzie.” i dalej — „Nie rozumiałem, że ty, Anka, bijesz się o... czy ja wiem, jak to powiedzieć, bijesz się... o inne życie. I za mnie też. I dla mnie (pauza) Ania, ja z tym innym życiem chcę pójść.” Dzięki silnemu ładunkowi uczuciowemu jest to jedyna chyba w sztuce scena, która naprawdę „bierze”. Jak żałujemy, że autor nie pogłębił postaci (domyślamy się, że Wanat kocha Ankę).

Scena, z której urywki cytowałem kończy się tak:

„Anka: Kto tam?

Wanat: To ja, Wanat.

A. — Wanat?? (podchodzi) Ach, to ty? Ciemno już. Czy się coś stało?

W. Nie. (pauza). Nic się nie stało (pauza). Wstąpiłem po ciebie wcześniej... myślałem, że... chciałem z tobą jeszcze o czymś przed zebraniem pomówić. I?... I kropka. A szkoda! W partiach o dużym napięciu uczuciowym, gdzie światopogląd przeżywany jest przez pryzmat jednostkowy, „prywatny”, osobisty, Pasternak jest najmłodsi

I o tym powinien pamiętać jako dramaturg.

Z PRAC SEKCJI POEZJI Z.L.P.

Najmłodsi

Dobrze się stało, że 26.II. na zebraniu Sekcji Poezji łącznie omawiano dwa debiutanckie tomiki: „Dzisiaj” oraz „Przed nami życie” i że zagajanie dyskusji przypadło w udziale krytykowi a zarazem poecie, Janowi Spiewakowi, który wygłosił je w formie dosyć zacheptnego referatu pt. „O wierszach Henryka Gaworskiego i Andrzeja Mandaliana i o złych recenzjach”.

Ocena dwóch wyżej wspomnianych tomików wypadła w ujęciu referenta dość ostro, chociaż cechuje ją duża życzliwość dla młodszych kolegów-autorów. Książce Mandaliana odmawia Spiewak rangi poematu, nazywając ją po prostu cyklem wierszy. Tym wierszom liryczno-refleksywnym z wstawkami opisowymi stanowiło brak akcji. Zarzuca też można Mandalianowi niejednolitość stylu. Najlepiej wypadają u niego partie agitacyjne, gdzie poeta świadomie nawiązuje do Broniewskiego i Majakowskiego; razi jednak przejawskrawione spojrzenie na realia swego tła, sztuczność metafory, niekiedy nawet — symbolizm. Mimo tych niedociągnięć, utwory wywierają wrażenie czegoś świeżego, mocnego i krytyk jest zdania, że młody poeta wybrał właściwą dla siebie drogę agitowania słusznej sprawy.

Ciekawie stawia referent też, że — wbrew powszechnej opinii — poezja Gaworskiego nie jest wcale tak bardzo jednolita. Gaworski w swej twórczości nie zawsze jest w równej mierze poetą socjalistycznym — i on przechodzi ewolucję, widoczną zwłaszcza przy

Wanda WEJTKO

„ODEZWA NA MURZE”

W OSTATNIM okresie rozwoju naszej literatury wielu pisarzy — jak mi się wydaje, najzupełniej słusznie — zwróciło się w swojej twórczości ku tematyce historycznej. Jednym z nich jest Anna Świerszczyńska, która ostatnią swoją sztukę poświęciła tej właśnie tematyce, zajmując się życiem proletariatu fabrycznego jednego z miast prowincjonalnych Polski w r. 1816. Pokazała ona działalność partii „Proletariat” na tym niewielkim odcinku.

Stworzenie dzieła scenicznego wymaga od autora ogromnej odpowiedzialności za słowo, ukazania pełnej wyrazistej psychiki bohaterów, którzy mają mówić nie tylko za siebie, lecz również za autora. Tematyka historyczna nakłada na pisarza dodatkowe obowiązki: konieczność znajomości epoki, utrzymania właściwej dla niej atmosfery i ścisłości historycznej, oczywiście jeżeli pisarz jest realistą, a realizm to przecież podstawowy postulat naszej współczesnej literatury.

Przyjrzyjmy się teraz tekstowi „Odezwy na murze” abstrahując zupełnie od przedstawienia teatralnego.

W fabryce włókienniczej Millera maszyna zabija pracującego przy niej robotnika. Przedsiębiorca nie chce pokryć kosztów pogrzebu. W odpowiedzi na to z inicjatywy członków partii „Proletariat” robotnicy organizują strajk. Na murach miasteczka rozlepiają, wydrukowaną w tajnej drukarni, odezwę. Wezwanie do strajku podejmują towarzysze z innych fabryk. Robotnicy bohatersko stawiając opór wezwanemu przez fabrykanta wojsku, wielu z nich ginie, lecz zwycięstwo jest niewątpliwe: strajk ogarnął wszystkie fabryki w mieście.

Tak w największym skrócie przedstawia się treść sztuki. Temat — wydaje mi się — obrany jak najsluszniej, ponieważ autorka ukazuje działalność partii w momencie, kiedy jej aresztowani przywódcy oczekiwali w Warszawie na proces, działalność, która świadczy o żywotności ruchu robotniczego w tym wczesnym jeszcze bardzo okresie.

ŚWIERSZCZYŃSKA popełniła jednak — moim zdaniem — jeden kardynalny błąd, który fatalnie zaciążył na całości sztuki. Przedstawiając w utworze tak mały wycinek rzeczywistości, jakim jest

życie małego miasteczka, usiłowała wtłoczyć w te szczupłe ramy całą niemal problematykę społeczną kapitalizmu. To „załadowanie” zagadnieniami sprawia, że wydarzenia akcji robią wrażenie „ilustracji” poruszonych spraw, tak „ilustracyjne” są postacie. Każdy z bohaterów ma zbyt wyraźnie „wypisaną na czole” jakie jest jego „zdanie” w przedstawionym społeczeństwie. Wiemy dokładnie już z pierwszych słów, że robotnicy, których oglądamy w początkowej scenie, to przywódcy ruchu i ci wytrwają do końca, że Adolf, syn Millera, to skończony hulaj i zadek na faszystę, a Nieciecki — oszust i wróg robotników, widzimy także szpicla Ignacego i arystokratę robotniczą w osobach majstrów Pluty i Wawrzyńca.

Dla zilustrowania problemów nie związanych z zasadniczą akcją sztuki autorka wprowadza osobny wątek — sprawę Adolfa i uwiedzioną przez niego Józki. O tym, jak silny jest wpływ partii na nieświadomych robotników, świadczyć ma błyskawiczna niemal ewolucja Zośki, która jest zresztą jedną z nielicznych plastycznych postaci w tej sztuce.

Na osobnych kilka uwag zasługuje matka Kubali i Rosjanin Iwanow Matka jest — moim zdaniem — bliską „krewną literacką” Pelagii Własowej z powieści Gorkiego, zresztą nawiązanie autorki do „Matki” i na pewno celowe wprowadzenie jakiejś paraleli nie tylko zagadnień, lecz również niektórych wydarzeń (bo nie tylko matka, ale sam Kubala przypomina koncepcję Gorkiego), jest słuszne z marksistowskiego punktu widzenia, podkreśla historyczną jedność zjawisk, jednak w połączeniu z postacią Iwanowa (mowy, jedność robotników, współpraca, internacjonalizm) jest — jak mi się wydaje — trochę przerysowane, naiwne.

Właściwie cały utwór przeladowany problematyką, z „papierowymi” bohaterami, sprawia chwilami przy lekturze wrażenie obrazka scenicznego pisanego dla teatryków świetlicowych i możliwe, że na tym właśnie terenie zyska on sobie powodzenie.

Jako sztukę teatralną uratować może „Odezwa na murze” tylko bardzo dobra reżyseria i gra — efekty sceniczne, ale już pozaliterackie.

Wanda Wejtko

Sztuka z życia górników

Jest rzeczą słuszną i pożyteczną, że w związku z Festiwałem Polskich Sztuk Współczesnych „Czytelnik” wydał szereg sztuk zgłoszonych na ten Festiwal. Szeroki wachlarz zagadnień poruszonych w poszczególnych utworach, jak również liczny udział pisarzy znanych i próbujących swych sił, a wreszcie duże zainteresowanie publiczności przedstawieniami festiwalowymi — wszystko to dowodzi, iż impreza ta, zorganizowana na ogólnopolską skalę, miała poważne znaczenie dla odświeżenia naszego repertuaru teatralnego.

Nakładem „Czytelnika” ukazały się m. in. sztuki o tematyce dotyczącej środowiska robotniczego, może najbardziej znamienne dla naszej obecnej rzeczywistości. A więc — murarze ukazują się w sztuce „Tysiąc walecznych” — J. Rojewskiego, metalowców widzimy w „Awansie” W. Zółkiewskiej, kolejarzy w sztuce L. Pasternaka „Trzeba było iskry”, wreszcie środowisko górników oglądamy w utworze dramatycznym Jerzego Piórkowskiego pt. „Nasze życie”.

Sztuka oglądana na scenie daje, rzecz prosta, odbiór pewną sumę wrażeń, niedostępną czytającemu ją w wydaniu książkowym.

Szczecińskiego przedstawienia „Nasze życie” nie widziałem, natomiast z lektury tej sztuki można by wyciągnąć wniosek, że znajomość opisanego tu środowiska nie idzie niestety w parze ze znajomością dramaturgii.

O tym, że Piórkowski zna życie górnika, świadczy jego reportaż „Nasze życie” o przodowniku pracy Piórkowskim „Zyciorys wykultu kilofem”. Chlubnie również świadczy o ambicjach pisarskich Piórkowskiego próba udrumantowania niewyżyskanego właściciela dotąd na scenie, problemu życia górników, sprawy produkcji węglowej, tak istotnej dla naszego przemysłu.

Akcja sztuki toczy się w jednej z największych kopalń śląskich w ostatnim roku Planu 3-letniego. Głównym bohaterem jest...

*) Jerzy Piórkowski — Nasze Życie, Sztuka w trzech aktach, Czytelnik, Kraków 1951, stron 84.

terem jest brygada młodzieżowa, której wysiłek rozbija się o nieudolność dyrektora i sabotażowe posunięcia poszczególnych inżynierów. Młodzi jednak w oparciu o doświadczenie starszych górników a zwłaszcza znajdując zrozumienie u pochodzącego z awansu społecznego dyrektora Kotery pokonują trudności i plan wykonują. Takie jest założenie tej sztuki, której bogaty ładunek ideologiczny, gorące oddanie sprawie górniczej nie pozostaje w proporcji z literackim ujęciem, konstrukcją utworu i płynną psychologizacją. Bohaterowie cierpią po prostu na niedokrwistość. Można to złożyć na karb pierwszych kroków Piórkowskiego jako dramaturga, można również tłumaczyć to w ten sposób, że przejęty treścią zapominał o formie.

Tak czy inaczej, sztuka Piórkowskiego pozostawia wrażenie chaosu. Zarówno jeśli chodzi o chronologiczny układ utworu, jak też wprowadzenie poszczególnych postaci i ich udział w akcji.

Zastanawiałem się właśnie nad tym, że wystawienie „Naszego życia” na scenie w formie, jej „czytelnikowskiego” wydania musiałoby wprowadzić w nieład kłopot kierownictwo literackie teatru i wykonawców — kiedy trafiła mi do rąk recenzja St. Marczyka-Oboworskiego („N. K.” nr 43 28 X. 1951), z której z prawdziwą satysfakcją wyczytałem m. in., że sztukę tę — „wystawiał Teatr Współczesny w Szczecinie po starannej korekcie literackiej. W porównaniu z pierwszą redakcją osiągnięto większą wartość dramatyczną przez usunięcie paru martwych teatralnie postaci i zmieszczenie w sześciu obrazach zamiast dawnych dziesięciu. Dialog został uproszczony”.

Te nieodzwonne „generalne porządki” w sztuce Piórkowskiego niewątpliwie przyczyniły się do wydobycia na światło dzienne (a właściwie światło rampy) ukrytych w niej walorów, o których już wspominałem.

G. K.

ku. Główna jego słabość widzi w młodzieńcym entuzjazmie, w niedostrzeganiu lub niedocenianiu trudności naszych warunków. Mandaliana znowu spotkały mocne zarzuty ze strony *Grzegorza Lasoty*. Ruchliwy ten brytyk wytknął poecie niezwartość konstrukcji, niedomówienia i duże niechlujstwo formalne. Razi go niewłaściwe używanie mowy pozornie zaleźnej, nieprawdopodobnie wzrost asonansów lub wyrzucanie na koniec wiersza słów najzupełniej przypadkowych. Prawdziwość i słuszność tych uwag niech dowodzi to, że zgodził się z nimi sam Mandalian.

Tak więc, choć omówione tu zebranie Sekcji Poezji należało do mniej interesujących aniżeli kilka poprzednich, należy przypuszczać, że było potrzebne, że pomoże ono młodym poetom w ich dalszej pracy.

(nbe)

POPIERAJCIE

Katolicki Uniwersytet

Lubelski

Włodzimierz WNUK

OPERA ZDOBYWA WYBRZEŻE

BYLEM naprzód na „Madame Butterfly” Puccini’ego. Opera ta, kryjąca pod francusko-angielskim tytułem tragiczne dzieje młodziutkiej gejszy japońskiej, uwiadzonej przez porucznika marynarki wojennej USA, Pinkertona, stała się dla najszerzszych mas Wybrzeża źródłem przeżyć, jakie tylko wielka sztuka zdolna jest w duszy ludzkiej wywołać.

W programie przedstawienia, wydanym przez Studio Operowe, podano streszczenie akcji scenicznej z następującym komentarzem: „Tragiczne dzieje życia młodej Japonki, wstrząsająca swoim wydzwiciem społecznym, budzą smutne refleksje nad niedolą kobiety, cierpiącej przez wiele generacji w głęboko niesprawiedliwym ustroju. Dziś, kiedy kobieta zdobyła równouprawnienie w postępowych społeczeństwach, tragedia Butterfly pozostała tylko oskarżającym wspomnieniem utrwalałym w pięknym dziele Puccini’ego”. Czy tylko wspomnieniem? Czy raczej żywym przejmującym obrazem nieszczęścia porzuconej kobiety, nieszczęścia, które ma wymiar ogólnoludzki i ponadczasowy.

urokami arcydzieła Moniuszki w wykonaniu Studia, pisali zresztą o nich już inni. Pragnąłbym raczej zwrócić uwagę na niezmierny entuzjazm, jaki budzi ta opera w społeczeństwie, mimo że tyle się wokół nas i w nas samych zmieniło.

I jeszcze parę słów o „Eugeniuszu Onieginie” Czajkowskiego według poematu Puszkina. Operą tą, wystawioną po raz pierwszy w czerwcu 1950 r., Studio zapoczątkowało swoją działalność artystyczną, mającą już dzisiaj na swoim koncie blisko 200 przedstawień.

Zofia Konradówna i Leokadia Borowska w rolach Tatiany i O’gi oraz Eugeniusz Banaszczyk i Ryszard Słazak w rolach Oniegina i Leńskiego, że ograniczą się do głównych postaci, tworzyli zwłaszcza pod względem wokalnym doskonale dobrany zespół. Duet Konradówny i Banaszczyka (spotkanie w ogrodzie) brzmiał szczególnie pięknie, stanowiąc prawdziwy sukces młodych śpiewaków. Trięta odegrał Franciszek Kokot, który już w po-

nego kapelmistrza, ale zarazem znakomitego znawcę opery, do której tak tęsknili mieszkańcy „trójmiasta”. Horoskopy spełniły się w stu procentach. Latoszewski, łączący wielki talent i kulturę muzyczną z ogromnym doświadczeniem i rzadko spotykanym zmysłem organizacyjnym, zapoczątkował nie tylko nowy, chlubny rozdział w działalności Filharmonii Bałtyckiej — cotygodniowe jej koncerty w Gdańsku i Gdyni, dyrygowane również przez Zdzisława Bytnara, stanowią czołową pozycję artystyczną Wybrzeża — ale z zastanych tu załazków życia operowego stworzył organizm pulsujący gorącą krwią; organizm, bez którego trudno sobie wyobrazić życie kulturalne „trójmiasta”. Istniejące od r. 1948 Studio Dramatyczno-Muzyczne przy Teatrze „Wybrzeże” (Iwo Gall wystawił w nim w r. 1949 „Halke”) przekształcił w Studio Operowe, wiążąc je na stałe z Filharmonią Bałtycką. Obejmując w nim dyrekturę artystyczną i kierownictwo orkiestrą doprowadził wspólnie z prof. Bręgą do tego, że po usunięciu wielu zasadniczych braków i trudności związanych z uruchomieniem maszyny operowej na nowym gruncie — podkreślić tu trzeba daleko idącą pomoc władz państwowych i ich pełne zrozumienie dla sprawy — Studio zaczęło pracować „na pełnych obrotach” wystawiając w ostatnich kilkunastu miesiącach cztery poważne opery.

Zasadniczą również rolę w rozwoju Studia odegrał jego kierownik i

reżyser, prof. Wiktor Bręga. Wykazał on, obok wielkich walorów pedagogicznych, wysokiej klasy talent inscenizatorski i reżyserski, który silnie zaważył na przedstawieniach gdańskich. Na szczególnie podkreślenie zasługuje pomysł trzech scen stanowiących całość (tj. głównej i dwóch bocznych prosceniów), który tak szczęśliwie zastosował Bręga w „Onieginie”, „Strasznym dworze” i „Sprzedanej narzeczonej”. Dzięki temu przedstawienia stały się bardziej swobodne i naturalne, odpadła ko-

nieczność sztucznego manewrowania większymi zespołami (balearami chórami itp.) w momentach, w których soliści występują na pierwszy plan. W systemie trójscenicznym zespoły te pozostają na głównej scenie podczas gdy soliści grają na prosceniach. Rozrywa to co prawda w pewnej mierze uwagę widza, zwłaszcza pierwszy raz oglądającego daną operę, ale korzyści takiej koncepcji górują niewątpliwie nad jej mankamentem.

Przy ściśle i harmonijnej współpracy kierowników poszczególnych działów artystycznych: K. Czekotowskiego (kształcenie wokalne), K. Gajewskiego (dekoracje), J. Jarzynówny (balet), R. Kuklewicza (chór) oraz kapelmistrza Z. Bytnara — o wkładzie każdego z nich godziłoby się osobno pomówić — powstała w odzyskanym Gdańsku placówka mająca wyjątkowe wprost znaczenie dla kultury nadmorskiego „trójmiasta” i jego szerokiego zaplecza pomorskiego. Żadne imprezy artystyczne tego regionu nie mają takiego oddźwięku w społeczeństwie, jak przedstawienia Studia Operowego, odbywające się każdorazowo przy przepelnionej sali, przy przeciętnej frekwencji 104%. Oglądało je już ok. 200.000 osób, w tym sporo wycieczek z odległych stron, przybywających do Gdańska specjalnie dla opery. Studio nie ograniczyło się przy tym do przedstawień w Gdańsku, ale zorganizowało je również na wsi w połączeniu z prelekcjami.



Studio operowe w Gdańsku. Scena z III aktu opery „Sprzedana narzeczonej” Smetany. Na zdjęciu S. Droszyńska i G. Wielikaniec.

Fof. E. Zdanowicz



Studio Operowe w Gdańsku. Scena z II aktu opery „Madame Butterfly” G. Puccini’ego.

Fof. E. Zdanowicz

Nazajutrz po „Madame Butterfly” oglądałem w Gdańsku „Sprzedaną narzeczoną” Smetany. Słynna opera czeska wniosła z sobą w mury Teatru Wielkiego nastrój pogody i zabawy, jakże silnie kontrastujący z dramatem dzieła Puccini’ego. Dawno mieszkańcy „trójmiasta” — nie mieli widowiska równie barwnego i weselnego, a jednocześnie uskrzydłonego pięknym muzyką, śpiewem i tańca. „Ludowe podniesione do ogólnoludzkiego” — zostało klasycznie zrealizowane w tej beztroskiej operze komicznej, która czeskie ludowe motywy muzyczne i charakterystyczne typy wiejskie uczyniła „widne całemu światu”. Za ten, pełen słońca i uśmiechu dar czeski — czuło się głęboką wdzięczność dla kompozytora pobratymczego narodu.

W oparciu o niezawodną orkiestrę Filharmonii Bałtyckiej i jej znakomitego dyrygenta oraz w ramach oryginalnej koncepcji reżyserskiej — dzieło Smetany na scenie gdańskiej stało się wybitnym osiągnięciem młodzieżowego Studia.

Chciałbym jeszcze wspomnieć o dwóch dalszych operach wystawionych przez Studio. „Straszny dwór” Moniuszki wszedł na scenę Teatru Wielkiego już w grudniu 1950 r., ale dopiero w rok potem danym mi było zobaczyć to przedstawienie, które już 70 razy porывало w rytm wspomnianego mo-ara mieszkańców „trójmiasta”. Nie będę się rozводził nad

przednich operach dał się poznać jako artysta obdarzony dużym talentem komicznym. Opera Czajkowskiego, której muzyka kryje w sobie takie bogactwo melodyki i uczucia, cieszyła się na Wybrzeżu od początku wielkim powodzeniem i należałoby sobie życzyć, aby — jeśli to tylko technicznie możliwe — była w przyszłości wznowiana.

Młodość zespołu Studia Operowego nie wystarczyłaby sama przez się dla zapewnienia przedstawieniom gdańskim tego poziomu, na jakim się znajdują i tego powodzenia, jakim się cieszą. Jeśli tak jest, to dzięki poddaniu Studia kierownictwu artystycznemu ludzi, którzy potrafili nadać placówce nadmorskiej właściwe oblicze i decydująco wpływając na jej wspaniałą a tak ważną dla przyszłości sztuki operowej w Polsce rozwój. Ważny, bo Studio stało się centralnym ośrodkiem szkoleniowym dla śpiewaków operowych z całego kraju, skupiając dziś młodzież z Warszawy, Łodzi, Torunia, Bydgoszczy i innych miast.

Kiedy w r. 1949 przybył do Gdańska dr. Zygmunt Latoszewski, przed życiem muzycznym Wybrzeża otwierały się jak najlepsze horoskopy: wiadomo było, że w osobie nowego dyrektora Filharmonii Bałtyckiej Wybrzeże pozyskało nie tylko wybit-

się powoli w smutek dojrzałego twórcy.

OWDZIĘKU, pogodzie i melodyjności muzyki Mozarta napisano już wiele. Zbyt wiele. Jeżeli bowiem wśród szerokiej publiczności utrwalił się obraz Mozarta jako uśmiechniętego „ulubieńca bogów” lub „cudownego dziecka”, to warto przypomnieć, że kiedy tylko skończyło się szczęśliwe dzieciństwo, Jan Chryzostom Wolfgang Amadeusz rozpoczął życie pełne trosk i cierpienia.

Urodzony w pięknym Salzburgu w roku 1756 jako syn kompozytora i „nadwornego muzyka” hrabiego von Thurn, Leopolda Mozarta (autora wydanej w tymże roku „Szkoły gry na skrzypcach”) rozpoczyna komponować w wieku „czterech lat. Jako sześciolatek chłopak odbywa swe artystyczne podróże po stolicach europejskich. Wraz ze swą siostrą — śpiewaczką odwiedził pod opieką ojca — impresario Paryż (gdzie w Wersalu koncertował przed królem, królową i markizą de Pompadour), Londyn, Lyon, Genewę, Lozanne, Berno i Zürich. Już jako znany „cud natury” wybrał się w roku 1770 do Włoch. A gdy wśród niebyswstego entuzjazmu wystawiono tam jego operę „Mitrydat”, tryumf czternaścieletniego wówczas kompozytora dosięgnął szczytu. I oto nie upływie od tego czasu więcej jak dwadzieścia lat, gdy na wiedeńskim cmentarzu pochowano we wspólnym, masowym grobie dla nędzarzy ciało jednego z największych kompozytorów wszystkich czasów. W ciągu swego 35-letniego ruchliwego życia zdążył on napisać 622 dzieła (123 utwory pozostały nienukończone). Pierwsze z nich nacechowane są radością życia, lecz już bardzo wcześnie pojawia się nuta melancholii, a uśmiech rozczarowanego dziecka przemienia

się powoli w smutek dojrzałego twórcy. Spośród utworów Mozarta, które usłyszeliśmy na ostatnim koncercie Filharmonii (7 i 9 marca), najbardziej beztroskim była uvertura do „Urowadzenia z Seraju” (1781). Opera bowiem była w epoce Mozarta tą formą muzyczną, która najszybciej i najniezawodniej torowała drogę sławie. „Urowadzenie” osiągnęło w Wiedniu niebyswały sukces, lecz równocześnie stworzyło nowy typ opery: niemieckiej opery narodowej, zdolnej stanąć godnie obok najlepszych oper włoskich. I tu właśnie rozpoczyna się najsmutniejsza karta w życiu twórcy — bezustanna walka z intrygami zazdrośnych o swój „operowy monopol” Włochów i ich zwolenników.

Koncert fortepianowy e-moll (napisany w roku 1786) bez przesady określić można mianem jednego z najbardziej tragicznych utworów Mozarta, a wykonanie jego należy do najtrudniejszych zadań. Nie jest przypadkiem, że słyszy się go bardzo rzadko. „Odczytać” można go względnie łatwo, ale — jak trafnie pisze autor objaśnień do „Programu” — „problemem, który odstrasza wykonawców jest konieczność znalezienia właściwej interpretacji, która by nie przerysowała względnie nie zatarała treści wyrazowej muzyki pełnej niepokoju, powściągliwej, klasycznej w swej nieskazitelnej formie i głęboko ludzkiej w swym tragicznym wyrazie”. Czy solista koncertu, Polesław Woytowicz sprostał temu zadaniu? Wydaje się, że niezupełnie. Pomijając już część pierwszą koncertu, w której zaznaczyły się wahania tempa i „niedobory” techniczne, drugą jego część zagrał solista zbyt powierzchownie, jakgdyby „zegaryn-

kowo”. Nie znaczy to jednak, by tak dobry i obdarzony tak wielką kulturą muzyczną pianista jak Woytowicz nie potrafił dobrze wykonać koncertu Mozarta. Chodzi jedynie o to, że taka wersja tego dzieła, jaką nam przedstawił, wydaje się nieprzekonywująca. Jednakże niejedno dzieło genialnego „ulubieńca bogów” jest do dziś dnia nierozwiązalnym problemem dla najwybitniejszych artystów.

Powstała w roku 1788 symfonia g-moll Mozarta jest najbardziej dramatyczna i „romantyczna” zarazem spośród trzech, napisanych w tymże roku. Tylko niektóre partie „Czardziejskiego Fletu” i „Requiem” (oba te dzieła powstały na kilka miesięcy przed śmiercią twórcy w roku 1791) dorównują jej pod tym względem.

Koncert poprowadził Stanisław Wisłocki. Uważałem i uważam, że jest to jeden z najzdolniejszych dyrygentów młodego pokolenia. Widziałem go już wielokrotnie i zawsze z satysfakcją słucham prowadzonej przez niego orkiestry. Toteż wybaczyć mi powinien parę uwag o charakterze krytycznym. Sądzę, że tego dnia przekroczył on tę granicę, która dzieli prowadzenie orkiestry przez dyrygenta od demonstrowania pantomimicznych ruchów, będących wyzywaniem przeżywania muzyki. Taki styl dyrygowania odwraca uwagę słuchaczy od muzyki i skierowuje ją na osobę dyrygenta: zamiast słuchać muzyki, publiczność także widzi ją. A przecież teatr opery i baletu (gospodarz „Romy”) nie wymaga chyba od swego gościa, narazie bezdomnej Filharmonii, aż tak daleko idących wyrzeczeń jej własnych założeń artystycznych na rzecz obyczajów gospodarza.

Czesław Krzewski

Redaktor Naczelny: Bolestaw Piasecki. Komitet Redakcyjny: Jerzy Hagmayer, Dominik Horodyński, Wojciech Kętrzyński, Janina Koiendo, Mieczysław Kurzyński, Zygmunt Lichniak, Konstanty Lubiński, Andrzej Micewski, Zygmunt Przetakiewicz, Ryszard Reiff, Jan Szwykowski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokołowska 43 I p. tel. 880 71 880 26. Konto PKO — Nr 1-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje podziennik przez wtorków i czwartków godz. 11 — 13.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 1,80 złotych. Kwartalnie 5,40 złotych.

Drukarnia Akwedensowa, Warszawa Tamka 3. Zam. 871 3-B-15409.